

Prenumerata wynosi:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk — 1 Rsb. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rsb. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8 Mrk. 3 Rsb. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rsb. 20 kop. Rocznie 16 kor. — 16 Mrk.— 7 Rsb. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA **KRAKÓW,** ZACISZE 7. Nr. TEL. 479.

Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.
Prenumeratę przyjmują Biura **UNGRA** w Warszawie, Wierzbowa 8 i Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi

Numer pojedynczy kosztuje 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok IV. Kraków, 27 lipca 1907. Nr. 30.

Rabunek w pociągu. (Treść na stronie 2)



Treść numeru: Jubileusz lwowskiej Akademii weterynaryi. — Pamięci wielkiego architekta. — 25 lat Towarzystwa wioślarskiego. — Rocznica wiekopomnego zwycięstwa. — Znowu zamach. — Zachód państwa „Wschodzącego poranku". — Amerykańska komisya w Galicyi. — Banda rozbójników. — Wizyty ministrów. — Nowy japoński dyplomata. — Praca na wschodnich kresach. — Jeszcze zmiany w armii. — Zjazd lekarzy i przyrodników polskich we Lwowie. — Opera w Krakowie itd. itd.

Rabunek w pociągu.

(Do illustracyi tytułowej).

Niesłychanie śmiały i bezczelny rabunek miał znowu miejsce przed kilkunastu dniami na głównej linii rosyjskich kolei południowych. Oto w pociągu, zdążającym od Charkowa, obrabowano w pobliżu stacyi Mabatina, żonę kupca Dobryninowa na sumę 1,215.895 rb.

Szczegóły tego sensacyjnego rabunku są następujące. Pani Dobryninowa zamierzała wyjechać z Rosyi za granicę i zajęła w pociągu pocztowym przedział I. klasy. Ze sobą miała prócz waliz i torebek, mały ręczny, skórzany sakwojaż, gdzie mieściły się jej cenne klejnoty, oraz papiery wartościowe i gotówka, łącznie przedstawiające wartość przeszło 1,200.000 rb. Gdy pociąg ruszył z Charkowa, p. Dobryninowa otworzyła okno w przedziale, drzwi zaś zamknęła na klucz, poczem położyła się na miękkiej, pluszowej ławce. Sakwojaż, zawierający milionowy skarb, położyła tuż koło siebie i czując opanowującą ją senność, przytrzymywała go ręką.

Zaledwie jednak pociąg przejechał kilka wiorst, gdy koło otwartego okienka przedziału dał się słyszeć jakiś szelest. P. Dobryninowa, choć czuwała pilnie, nie przywiązywała do tego znaczenia, ponieważ widziała, iż pociąg jest w pełnym ruchu. Któż jednak opisze jej przerażenie, gdy nagle w oknie wagonu ujrzała brudną, osmoloną twarz jakiegoś człowieka, ubraniem swem i zachowaniem nie budzącego bynajmniej zaufania. Na widok jego p. Dobryninowa podniosła się i instynktownie chwyciła za sakwojaż. W tej chwili ów nieznajomy człowiek wpakował się do przedziału i grożąc przerażonej kobiecie śmiercią, wydarł bez trudu sakwojaż, poczem tą samą drogą, którą wszedł, opuścił przedział.

Oprzytomniawszy, zaalarmowała p. Dobryninowa pociąg, mimo jednak bardzo skrzętnych poszukiwań rabusia nie znaleziono. Widocznie zeskoczył on w chwili, gdy pociąg był w ruchu i ulotnił się, w czem pomogła mu ciemna noc.

* * *

Illustracya nasza przedstawia chwilę, gdy rabuś wchodzi przez okno wagonu do przedziału, w którym jechała p. Dobryninowa.

Jubileusz lwowskiej Akademii weterynaryi.

Skromnie bardzo, bo wyłącznie w ścisłem gronie koleżeńskiem, święciła istniejąca we Lwowie jedyna polska Akademia weterynaryi jubileusz 25-lecia swego istnienia.

Założony w r. 1881 zakład, dzięki staraniom i ofiarności kraju i gorliwym zabiegom ówczesnego protemedyka ś. p. dra Biesiadeckiego, z małych początków ciągle wzrastał, mimo iż miał do przezwyciężenia cały szereg przeszkód. Całe 25 lat upłynęło na staraniach o pomnożenie sił nauczycielskich, asystentów, demonstratorów itd. Usiłowania te odniosły znaczny już dzisiaj sukces, bo budżet zakładu, który po założeniu wynosił około 34.000 koron, podniósł się do tego czasu czterokrotnie i dochodzi dziś do 130.000 koron. Personal nauczycielski, składający się pierwotnie z 3 profesorów i 1 nauczyciela, liczy obecnie 7 profesorów, 6 docentów, 7 asystentów i 3 demonstratorów. Wzrosły też znacznie dotacye naukowe oraz koszta żywienia i leczenia zwierząt, nadto przybyły nowe wydatki na nowo stworzoną klinikę ambulatoryjną, na klinikę położniczą, stajnię hodowlaną itp.



Fot. M. Münz we Lwowie.
Jubileusz lwowskiej Akademii weterynaryi: Zasłużony rektor dr. Szpilman.

W r. 1888 powstał przy zakładzie fundusz jubileuszowy im. cesarza Franciszka Józefa, wynoszący obecnie już przeszło 10.000 koron, z którego jeden słuchacz otrzymuje stypendyum 200 koron. Grono profesorów wyjednało ponadto 7 stypendyów krajowych po 500 koron i 3 rządowe po 600 koron. Słuchacze z Czech, Morawy i Chorwacyi otrzymują stypendya od swoich rządów krajowych.

W ciągu 25-lecia nastąpiła odpowiadająca nowoczesnym wymogom reforma planu naukowego, a w ślad za tem poszło zrównanie Akademii weterynaryi z innymi wyższymi zakładami naukowymi a uwieńczeniem reformy będzie przyznanie Akademii weterynaryi prawa promowania swych słuchaczów na doktorów medycyny weterynaryjnej.

Gorliwym i nieustannym zabiegom grona profesorskiego zawdzięcza Akademia powstanie w ciągu 25 lat tak cennych i tak licznych zbiorów, że pod tym względem śmiało może konkurować z akademiami zagranicznemi. Akademia otrzymała też na kilku większych wystawach pierwszorzędne odznaczenia.

Duszą zakładu jest prof. dr. Szpilman, od 23 lat rektor zakładu, przez słuchaczów niezwykle lubiany i czczony. Od szeregu lat jeden z najwybitniejszych członków lwowskiej Rady miejskiej, zajmuje się gorąco sprawami sanitarno-weterynaryjnemi miasta i olbrzymie już pod tym względem oddał mu usługi.

Obchód jubileuszowy odbył się w zeszłą niedzielę staraniem galicyjskiego Towarzystwa lekarzy weterynaryjnych, którego imieniem powitał licznie przybyłych wychowanków Akademii prezes Towarzystwa, radca Ponicki.

* * *

Obok umieszczamy portret rektora profesora Szpilmana, oraz grupę przybyłych na obchód jubileuszowy lekarzy weterynaryjnych, wśród których mnóstwo zajmuje dziś wysokie posady w służbie państwowej i autonomicznej.

Pamięci wielkiego architekta.

Twórcą projektu wybudowanego przed kilku laty nowego gmachu miejskiego teatru we Lwowie, był dyrektor lwowskiej szkoły przemysłowej, śp. Z. Gorgolewski. Nie długo mu danem było cieszyć się dziełem swej twórczości, gdyż wnet po jego dokonaniu zabrała go nieubłagana śmierć.

Zgon jego okrył żałobą całą polską sztukę architektoniczną, ś. p. Gorgolewski bowiem był jej prawdziwą chlubą. Całym szeregiem swoich pięknych projektów wsławił imię swoje szeroko po za granicami kraju ojczystego, a architekturze polskiej przysporzył niemało chwały.

Po jego zgonie profesorowie szkoły przemysłowej powzięli myśl uczczenia pamięci zmarłego przez wmurowanie tablicy pamiątkowej w gmachu teatralnym. Projekt do tej plakiety wykonał znany zaszczytnie artysta-rzeźbiarz p. Juliusz Bełtowski, a obecnie po wykonaniu tablicy nastąpiła zupełnie skromna uroczystość wmurowania w środku gmachu, tuż przy głównem wejściu.

Obok umieszczamy podobiznę plakiety.



Fot. M. Münz we Lwowie.
Jubileusz lwowskiej Akademii weterynaryi: Grupa uczestników uroczystości jubileuszowej. 1. Rektor dr. Szpilman; 2. Profesor dr. Królikowski; 3. Radca dworu profesor dr. H. Kadyi.

Rocznica wiekopomnego zwycięstwa.

W dniu 14 lipca upłynęło 497 lat od chwili, w której wojska polskie i litewskie pobiły na głowę armię krzyżacką na polach między Grunwaldem a Tannenbergiem. Chwila owego tryumfu oręża polskiego pozostanie po wieki jedną z najświetniejszych kart w dziejach naszego narodu, otoczona aureolą sławy i droga sercu każdego Polaka. Rocznicę tę święci też naród polski uroczystemi nabożeństwami i obchodami.

Z szczególną wspaniałością urządzono w tym roku obchód rocznicy grunwaldzkiej w Sanoku, a podkreślić należy z naciskiem, jako fakt niezwykle piękny, iż inicyatywę do tego obchodu dali robotnicy z sanockiej fabryki wagonów i maszyn. Na ich wezwanie ukonstytuował się komitet, złożony z przedstawicieli wszystkich miejscowych towarzystw polskich i zajął się ułożeniem programu uroczystości oraz jej urządzeniem.

Rozpoczął się obchód rano o 5-tej godz. odegraniem pobudki przez muzykę fabryczną. Następnie zeszli się uczestnicy pochodu przed gmachem Sokoła i w olbrzymim pochodzie podążyli do kościoła farnego.

Czoło pochodu stanowiła muzyka fabryczna; dalej szli delegaci Koła polskiego z Wiednia, posłowie Fidler, Maślanka, Wiącek i Zamorski, za nimi delegacye miejscowych towarzystw, a więc koło T. S. L., Tow. młodzieży polskiej „Znicz“, „Ogniwo“; dalej Rada miejska, Rada powiatowa itd. Wspaniale przedstawiała się banderya włościańska w strojach krakowskich, ułani polscy, kosynierzy, następnie zastęp dziewcząt wiejskich z polnemi kwiatami, młodzież szkolna, robotnicy fabryczni, straż ogniowa i Sokół.

Po uroczystem nabożeństwie i podniosłem kazaniu, które wygłosił ks. Sękowski, ruszył olbrzymi pochód w tym samym porządku pod pomnik Tadeusza Kościuszki, gdzie przemawiali prezes Sokoła prof. Pytel i poseł do Rady państwa włościanin Fidler.

Dalszym ciągiem uroczystego obchodu było skromne przyjęcie, urządzone na cześć gości, przybyłych z poza Sanoka; do stołów zasiadło przeszło 300 osób, w czem większość stanowili włościanie polscy z okolicy. Szereg mów patryotycznych wygłoszono w czasie obiadu, a przeplatano je śpiewami narodowymi i pieśniami.

Na zakończenie uroczystości odbył się w sali Sokoła wieczór, którego program wypełniły śpiewy, deklamacye, przemówienia, oraz przedstawienie amatorskie. Nastrój panował przez cały czas obchodu bardzo podniosły i patryotyczny.

* * *

Zdjęcia zamieszczone w dzisiejszym numerze przedstawiają banderyę włościańską w pochodzie przez miasto oraz zebranie pod pomnikiem Kościuszki w czasie przemówienia p. Fidlera.



Fot. M. Münz Lwów.
Pamięci wielkiego architekta: Plakieta ś. p. Z. Gorgolewskiego.

25 lat Towarzystwa wioślarskiego w Warszawie.

Praca społeczna, choćby tylko w ramach towarzystwa sportowego, już była wielkim czynem w Warszawie przed 25 laty, zwłaszcza gdy uprzytomnimy sobie, w jakich warunkach społeczeństwo wówczas przymuszone było żyć. Zrzeszenie ludzi w jakimkolwiek celu, było rzeczą podejrzaną, nie lada też pracy i starań musiał użyć dr. Henryk Stankiewicz, zanim w r. 1882 uzyskał u władz zatwierdzenie ustawy Tow. wioślarskiego.



Fot. L. Gottdank, Sanok.
Rocznica wiekopomnego zwycięstwa: Zebranie przed pomnikiem Kościuszki w Sanoku, w dniu obchodu rocznicy grunwaldzkiej. Przemawia poseł Fidler.



Fot. L. Gottdank, Sanok.

Rocznica wiekopomnego zwycięstwa: Banderya włościańska podczas obchodu rocznicy grunwaldzkiej w Sanoku.

Dzisiaj, gdy towarzystwo to obchodzi dwudziestą piątą rocznicę swego istnienia, na przeżyte lata nie możemy patrzeć tylko ze sportowego punktu. Ochoczość do pracy społecznej zawsze ożywiała jego członków; niedość było towarzystwu rozwijać siły fizyczne młodzieży, wówczas gdy na tę stronę wychowania nie zwracano najmniejszej uwagi — i to już było wielką jego zasługą, lecz owszem korzystano z wszelkiej okazyi jakiejkolwiek pracy dla kraju pożytecznej. W zadaniach społecznych nigdy nie ustawało i dzisiaj na koszt Towarzystwa powstaje już szkółka dla ubogich dzieci Powiśla, wyłonił się również nowy projekt szkoły żeglugi rzecznej dla Królestwa Polskiego. Z licznych też stron pospieszono, by złożyć Towarzystwu życzenia długiej, a jeszcze owocniejszej pracy.

Według tradycyi dzień swego jubileuszu rozpoczęli wioślarze nabożeństwem w kościółku św. Rodziny, poczem na przystani 150 zebranym gościom podano obiad, po którym rozpoczęły się regaty. Wieczorem w gmachu zimowym Towarzystwa, wspaniale przystrojonym na uczczenie przybyłych, rozpoczęła się uczta, a wraz z nią składanie życzeń i przepięknych darów. Ze wszystkich krańców ziem polskich przybyli delegaci do stolicy, by nieść swym kolegom słowa powitania i radości.

Po śpiewie tow. „Dudy“ przemówił serdecznie sternik Poznańskiej osady p. Ruciński i złożył w darze flagę Towarzystwa; z Kijowa p. Zygmunt Markiewicz w podniosłych słowach prosił o przyjęcie daru, srebrnej łodzi, żeglującej w falach; z Krakowa przybył hr. Władysław Rostworowski i ofiarował od tamtejszego oddziału srebrną gałęź wawrzynu w zakopiańskiej ramie. Potem cały szereg wybitnych przedstawicieli społeczeństwa sławił te srebrne gody Towarzystwa. Przemawiali więc ks. Chełmicki, ks. Gralewski i p. Dmowski, b. posłowie do Dumy, jako też i poseł ziemi kaliskiej Parczewski, poeci Gliński, Kamiński, Ignacy Baliński, a Julian Święcicki wygłosił jedno z płomiennych swych przemówień na cześć ludu i wielu, wielu junych jeszcze mówców zagrzewało do dalszej pracy dla kraju.

Załączona fotografia przedstawia prawie wszystkich czynnych członków Towarzystwa, brak tylko prezesa hr. Branickiego, który na tę uroczystość nadesłał serdeczną depeszę ze Szwecyi, gdzie obecnie przebywa.



Fot. St. [illegible]

Na wulkanie

Powieść ARTURA GRUSZECKIEGO

na tle ostatnich rozgłośnych wypadków w Królestwie Polskiem.

33 Ciąg dalszy.

— Młodość nie wraca — zaśmiał się Krasotin, zapalając papierosa — ale te czasy mogą się wrócić...

— Daj, Panie Boże!

— Aleksandrze Mikołajewiczu, a może pozwolicie herbaty? — wstał z fotelu.

— No, nie zawadzi, jeśli gotowa.

— U mnie zawsze gotowa — przycisnął dzwonek, mówiąc do służącego: — podaj herbatę.

Gdy służący, przyniósłszy herbatę, oddalił się, Krasotin popijając ją, mówił:

— W zaufaniu wam powiem, że Czerniejew zawiódł nasze oczekiwania, a mówię nietylko o sobie, ale wogóle russkich ludzi w tym kraju. Za mało stanowczości, za mało surowości w tłumieniu buntu, który ogarnia coraz większą liczbę ludzi... Czy nie jesteście tego samego zdania, Pawle Pawłowiczu?

— Wiem coś o tem, bo moje najlepsze projekty, nad którymi trawiłem dnie i noce, a zmierzające do ukrócenia samowoli tutejszych, on odrzucił, albo tak zmienił, że z nich łupiny zostały.

— Prawdę mówicie, Pawle Pawłowiczu i dlatego do was przyszedłem. Jeśli on będzie dalej rządził z tą swoją łagodnością... bunt wzrośnie i russcy mogą ucierpieć.

— Nietylko to — oburzał się Gołubiew — ale zaczną nas lekceważyć i nami poniewierać.

— Otóż to... i mało tego, ucierpi powaga państwa, szacunek dla rozporządzeń, zniknie uległość naszym rozkazom.

— Święte są wasze słowa.. i gdyby można zmienić ten opłakany stan rzeczy na inny, na zdrowy kierunek, nigdy się nie usunę od tej pracy!...

— Tego się po was spodziewałem — uścisnął rękę Gołubiewa — razem możemy dużo zrobić dobrego dla państwa i uspokojenia ruchu socyalistów naszych i tutejszych.

— Czekam z upragnieniem waszego planu — podał papierosy a po zapaleniu zaczął Krasotin, wyjmując z kieszeni papier, na który rzucił okiem:

— Naszkicowałem, co i jak należy zrobić, aby ustalić w prywiślańskim kraju porządek prawnopaństwowy, a niewątpliwie wpłynie to uspokajająco na całą naszą ojczyznę.

— Tak i słucham.

— Nie potrzebuję ukrywać przed wami. że ruch socyalny szerszy się w całem państwie. Jeśli my damy przykład energii działania i surowości w tym kraju, socyaliści w całem państwie ulękną się, pokładą uszy po sobie i wszystko wróci do dawnego ładu i porządku.

— Cała święta Rosya błogosławiłaby was, gdyby nareszcie znalazł się sposób zdławienia liberalnych i socyalistów.

— Jak wiecie, nieustanne napady na policyę, żandarmeryę i na gorliwszych urzędników nie ustają, a sprawcy z reguły zostają nie wykryci, gdyż ludność im sprzyja — zajrzał w rozłożony arkusz papieru — w takim stanie rzeczy proponuję wyprawy karne ze sądem polowym.

— Cudowny pomysł — zatarł Gołubiew ręce z radości — rozumiem wasz plan. Zabili któregoś z naszych, miasto musi się okupić i musi wydać zbrodniarzy. I odechce się im zamachów.

— Wy Pawle Pawłowiczu jedyny człowiek — uśmiechnął się przyjaźnie Krasotin — z wami miło pracować. Odgadliście myśl moją, ot patrzcie — podsunął mu arkusz — sam napisałem: miasto musi wydać zbrodniarzy, a wy dodaliście, że i okupić się musi. I to słusznie, bo czyż wdowia pensya wystarczy żonie zamordowanego i pozostałym sierotom? Niech płacą za bunt. A dalej: dom, z którego padł strzał, konfiskuje się na rzecz skarbu, a w razie potrzeby, zostaje zburzony.

— Bardzo dobrze, gdyż sami właściciele będą dbali o to, aby rewolucyonistom nie wynajmować lokali.

— Żydzi w czasie trwania stanu wojennego trzeciego stopnia i wypraw karnych, są ograniczeni jedynie na zamieszkiwanie swej dzielnicy, a w razie zabójstwa tam któregokolwiek funkcyonaryusza rządu, część dzielnicy ma być zburzona...

— Toż ucieszy się Tiszew z waszego projektu — śmiał się Gołubiew.

— Miasta, miasteczka, osady i wsie, w których odbyłaby się manifestacya bez rozlewu krwi, płacą po rublu pogłównego od mężczyzn, a po pół rubla od kobiet i dzieci.

— Sprawiedliwie... dodałbym jeszcze, że pieniądze te idą na zapomogę dla iście russkich ludzi w tym kraju.

— Ja zgodny człowiek — uśmiechnął się Krasotin — można i to dodać.

— W razie powtórzenia się manifestacyi, prócz zapłaty, daje dana miejscowość zakładników, wybranych przez oficera wyprawy, tak mężczyzn jak i kobiet, i zakładnicy ci na czas trwania stanu wojennego zostają osadzeni w areszcie na koszt tejże miejscowości.

— No, wy Aleksandrze Mikołajewiczu, pomysłowy człowiek — rzekł z uznaniem Gołubiew — manifestacye ustaną a z niemi i zaraza socyalna i narodowa.

— Drukarnie wszelkie na czas trwania stanu wojennego są zamknięte, z wyjątkiem tych, w których drukuje się gazeta urzędowa. W razie, gdyby którakolwiek drukarnia nie zastosowała się do tego rozkazu, drukowała potajemnie, drukarnię konfiskuje się, a właściciel i zecerzy zostają wysłani porządkiem administracyjnym do guberni sybirskich.

— Ot, byłby kaganiec — klasnął w ręce Gołubiew — dopiero byłoby cicho!

Krasotin, czuły na pochwały, spuścił oczy skromnie i po chwili czytał dalej.

— W razie wybuchu strejku w czasie stanu wojennego, fabryka zostaje zamkniętą przez rząd. Robotnicy będą wydaleni do miejsca urodzenia, a podżegacze i podejrzani zesłani administracyjnie na Sybir, kosztem fabryki.

— To dobry pomysł, bo skarb nic nie traci, a rząd zyskuje spokój.

— W razie strejku kolejowego — mówił podniecony pochwałami Krasotin — kolejarze, którzy nie stawili się na służbę, zostają oddani pod sąd polowy, jako dezerterzy.

— I kulą w łeb — zaśmiał się Gołubiew — to racya, wielka racya.

— Szczegółową instrukcyę dla panów oficerów, dowodzących wyprawami karnemi, opracuje się później — kończył Krasotin.

— Teraz rozumiem całą doniosłość waszej pracy — rzekł sekretarz — gdy w Rosyi zobaczą, jak my stłumiliśmy tutaj bunt, odechce im się wolności i rewolucyi. No, no, ale u was ministeryalna głowa.

— Nie sztuka pomyśleć, ale sztuka wykonać - rzekł Krasotin — i z tego powodu przyszedłem do was a nie do kogo innego. Wy znacie formy urzędowe, macie w tem wprawę i temu projektowi trzeba dać potrzebną formę.

— Ja gotów jestem usłużyć wam, Aleksandrze Mikołajewiczu, rozkazujcie.

— Projekt ten, porządnie, według wszelkich form opracowany, przedłożymy najpierw Czerniejewowi.

— Jemu? — zdziwił się sekretarz.

— Należy mu się, bo i tak zwrócą się do niego. On musi go poddać dyskusyi, a jeśli nie zechce, znajdziemy i na niego sposób.

— Jakiż to?

— Przeczytajcie mój dopisek — podał arkusz papieru, z którego czytał.

Gołubiew wziął papier i odczytał półgłosem:

— Zrobić trzy odpisy: jeden dla generał-gubernatora, drugi dla naczelnika ochrany w Petersburgu, trzeci dla ministra spraw wewnętrznych.

— Uważacie, Pawle Pawłowiczu, gdy równocześnie podamy w trzy miejsca, Czerniejew chce, czy nie chce, musi zbadać projekt. Z Petersburga napiszą, aby zdał sprawę ze stanu kraju prywiślańskiego, a wasza rzecz, aby sprawozdanie wypadło w myśl naszego wspólnego interesu.

— Wiecie, Aleksandrze Mikołajewiczu, ja taki mały udział brałem w tym sławnym waszym projekcie, że myślę użyć formy takiej, jakoby zebrali się nasi russcy pod waszem przewodnictwem i uchwalili jednogłośnie następujący projekt...

— Czy obawiacie narazić się staremu?

— Nie to, ale mam ważne przyczyny.

— Jakie?

— Ja tylko sekretarz... nie mam prawa sam pisać do ministra, ale zgromadzenie mogło mię wybrać... ot i wilk syty i koza cała.

— Wy macie słuszność... chciałbym ten projekt podać jaknajprędzej, aby mnie nie ubiegł kto inny, kiedyż możecie uzupełnić?

Gołubiew spojrzał na zegarek, wskazujący pół do jedenastej.

— Za pół godziny jadę do biura, wezmę projekt z aktami, tam go przepiszę według formy, każę zrobić trzy kopie jutro po zobaczeniu się z wami.

— Bardzo dobrze, Pawle Pawłowiczu, jutro o dziewiątej rano będę u was, tak do widzenia, nie zabieram wam czasu.

Po jego wyjściu Gołubiew obejrzał arkusz z wydrukowanym nagłówkiem kancelaryi ochrany, rzucił okiem na szkic projektu z podpisem Krasotina i korzystając z wolnej chwili, porobił swe uzupełnienia.

Wychodząc schował ten arkusz w tekę wraz z innymi aktami i ul. Chmielną przez Nowy Świat kazał jechać dorożce.

Właśnie był w pobliżu przecznicy Wareckiej, gdy zdawało mu się, iż trotuarem idzie Logika, tak usilnie poszukiwana przez policyę po aresztowaniu Wandy.

Uradowany myślą pochwycenia Logiki i zemszczenia się na niej, wyskoczył z dorożki, aby ją dopędzić i kazać aresztować pierwszemu lepszemu stójkowemu.

Istotnie była to Logika, która szła zwolna, czekając na Porwę, czyniącego zakupy w pobliskim sklepie.

Gołubiew zbliżył się, zajrzał jej w oczy i szepnął:

— Nareszcie dostanę panią.

Logika wiedząc, że jest poszukiwaną, na razie zmieszała się i spojrzała wokoło, szukając sposobu ratowania się.

Ośmielony tem Gołubiew, widząc o jakie piętnaście kroków policyanta, przystąpił tuż do Logiki i właśnie miał zamiar przytrzymać ją za rękę, gdy przed nim stanął Porwa.

Gołubiew, znając silną rękę Porwy, uskoczył, lecz Porwa chciał go dopaść. Wówczas Gołubiew wbiegł w otwartą bramę kamienicy i szybko znikł na schodach.

Porwa powrócił do Logiki, która mu szepnęła:

— Zapewne chciał mnie uwięzić.

— Napewno... siadajmy w dorożkę — wskazał na dorożkę porzuconą przez Gołubiewa, stojącą obok chodnika.

Usiedli.

— Nie jestem wolny... gdzieś mi się pasażer zapodział.

— Zapłacę wam za stracony kurs... jedźcie szybko ku Jerozolimskim.

Gdy dojeżdżali do domu, Porwa, który obok siebie położył pakunek ze sklepu, sięgając po niego, dotknął się skóry teczki, wziął ją do ręki i na wierzchu dojrzał napis: Paweł Pawłowicz Gołubiew.

Domyślił się, że ów zapodziany pasażer był Gołubiewem i że ta teczka posiada zapewne cenne dla partyi papiery. Schował ją tedy starannie przy sobie i dla wszelkiego bezpieczeństwa podał dorożkarzowi inny adres, a w stosownej chwili inną dorożką wrócił wraz z Logiką do domu.

Zaledwie usiedli, a Porwa usiłował otworzyć teczkę, gdy wszedł Bal.

— Cóż majstrujesz... znalazłeś milion?

— Kto wie... to teka Gołubiewa.

— A!... jakim sposobem?

Właśnie Logika kończyła opowiadanie o spotkaniu z Gołubiewem, gdy zamek pod naciskiem odskoczył, a całą zawartość wysypał Porwa na stół.

Zaczęli wspólnie składać papiery, gdy Porwa zajrzawszy do rozłożonego arkusza, zawołał:

— Słuchajcie... projekt naczelnika ochrany, pułkownika Krasotina... są dopiski uzupełniające... — wszyscy pochylili się nad papierem — zaczekajcie, odczytam głośno.

Gdy skończył przypisek, polecający trzykrotne przepisanie projektu i zajrzał na umieszczoną datę, zawołał:

— Wczoraj Krasotin pisał, a ponieważ projekt ma być doręczony Czerniejewowi, dał swój brulion sekretarzowi do przepisania i doręczenia.

Milczeli przez chwilę, wreszcie rzekł Bal:

— To dokument pierwszorzędnej wartości... z naczelnikiem ochrany liczą się w Petersburgu i projekt jego może być urzeczywistniony. Rosya widząc, jak tłumią u nas ruch rewolucyjny, może i przychylić się na jakiś czas.

— Sposób podany przez niego jest jednak okrutny i niesprawiedliwy — oburzała się Logika.

— To rzecz podrzędna — rzekł Porwa — ale takie karne wyprawy zniszczą kraj moralnie i materyalnie. Musimy coś uradzić, trzeba przeciwdziałać...

— Tu są tylko dwa wyjścia — przerwał chwilowe milczenie Bal — czekać, co na to powie Czerniejew, ochrana w Petersburgu i minister spraw wewnętrznych...

Logika wzięła projekt naczelnika ochrany do ręki, odczytała uważnie i zwolna mówiła:

— Wczoraj pisał szkic... dziś ktoś poprawiał, bo pismo różne... a że dziś, spójrzcie na świeże, błyszczące jeszcze ślady ołówka — podsunęła papier.

— Prawda, macie dużo obserwacyi — chwalił Porwa.

— Wnioskując logicznie, ten szkic wczoraj lub dzisiaj został wręczony Gołubiewowi... może dla wręczenia po przepisaniu Czerniejewowi. Szkic ten zapomniał Gołubiew w dorożce, powodowany zemstą osobistą względem mnie, uciekł przed Porwą... jedno i drugie nie nadaje się do zwierzeń. Spostrzegłszy swą zgubę, da znać policyi, aby dorożkarza wyszukała, a zanim policya znajdzie, będzie czekał rezultatu i milczał przed Krasotinem. A poszukiwania mogą się przeciągnąć do wieczora... do jutra.

— Rozumowanie słuszne, niedarmo jesteście Logiką — uśmiechnął się Bal — mam czas do jutra. Spróbuję dziś, a gdyby się nie udało, jutro...

— Nie spieszcie się — rzekła Logika — gdyby i dziś dał mu znać Gołubiew, nie wygotuje aż trzech egzemplarzów, a bez jego nacisku i protekcyi projekt pójdzie do kosza, jak zwykle.

— I to racya — Bal spojrzał na zegarek, wskazujący kilkanaście minut po dwunastej — bywajcie zdrowi, czeka mnie nielada praca.

Przy ul. Kruczej, w małej izdebce parterowej, ciemnawej, mieszkał czeladnik tokarski, szczupły brunet z twarzą rozbudzoną, z oczyma płonącemi gorączkowo. Zawiadomiony przez Bala o potrzebie zwołania dzielnicowego oddziału bojówki, postarał się o zgromadzenie co bliższych.

Był tam czeladnik stolarski, pociągający prawą nogą i ubrany z trochę przesadną elegancyą fryzyerczyk, młody, dosyć ładny chłopak, nad swój wiek rozrośnięty.

Po godzinie drugiej wszedł Bal, a po przywitaniu, zapalił papierosa, aby zagłuszyć wyziewy wilgoci.

— Komitet skazał na śmierć pułkownika Krasotina... cóż wy na to, towarzysze?

Milczeli nachmurzeni, wreszcie odezwał się cicho czeladnik stolarski, przygładzając nad uchem blond włosy:

— Zważcie towarzyszu, że z naszego oddziału dwóch zginęło na stryczku, a dwóch czeka to samo... wszyscy za nieudany zamach na Krasotina. Byłem w pobliżu, strzelano o sześć, siedm kroków dwukrotnie. Teraz on otoczony ajentami, każdego przechodnia zatrzymują, póki nie dojdzie do głównej ulicy z Mokotowskiej, gdzie mieszka. Nigdy nie wyjdzie i nie wróci o jednej porze. Tu poradzi jemu tylko bomba.

— Tak, tak, to bardzo ostrożny ptak — dodał fryzyerczyk.

— Więc mówicie towarzysze, że on pilnuje się bardzo starannie — mówił Bal zwolna — hm... trudna sprawa, ale poradzić musimy.

— Stróż w kamienicy, gdzie mieszka, jest ajentem; w podwórzu kręci się zawsze ze trzech; na schodach także, a w przedpokoju zawsze dwóch i bez rewizyi osobistej nikogo nie puszczą — objaśnił stolarz.

— A wy towarzyszu, co powiecie? — zwrócił się Bal do tokarza.

— To, co inni... on ostrożny i przezorny. Na próbę czekaliśmy na niego we dwóch w dorożce, a skoro dojrzeliśmy go, dorożka ruszyła. W tej chwili on skręcił w pierwszą bramę z brzegu i znikł.

Wszyscy trzej spojrzeli posępnie na siebie.

Bal spostrzegł, że wszyscy trzej nie mają zaufania w powodzenie, a tacy są wątpliwymi wykonawcami.

— Wiecie towarzysze — rzekł po chwili — będę od was wymagał pomocy biernej... może się coś uplanuje... O której porze wychodzi on z kamienicy?

— Pomiędzy siódmą a dziewiątą — odpowiedział fryzyer.

— Ilu ajentów pilnuje go, gdy wychodzi? — spytał Bal.

— Jak czasem, bywa dwóch, a i trzech lub czterech; od niego o jakie dziesięć, piętnaście kroków.

— To już wiem wszystko — wstał Bal — dziś wieczorem dam wam znać — pożegnał towarzyszów.

Poszedł obejrzeć kamienicę, w której mieszkał Krasotin, przy ul. Mokotowskiej, w równej mniej więcej odległości od przecznicy Wilczej i Pięknej i równie dobrze mógł się udać do środka miasta, idąc jedną lub drugą przecznicą, albo wprost Mokotowską na plac św. Aleksandra.



...To dokument pierwszorzędnej wagi.

Patrzał w ulicę zafrasowany, gdy ktoś go z cicha pozdrowił; był to tokarz.

— Słuchajcie towarzyszu zatrzymał go Bal — przez dzień dzisiejszy, aż do chwili, gdy u niego pogasną lampy, pilnujcie jego powrotu lub wyjścia a jutro rano wpadnę do was... A uważajcie, którą stroną idzie.

— Bądźcie spokojni, dopilnuję go.

Do Młota i Jana, dwóch towarzyszy z wyprawy, posłał, aby dzisiaj wieczorem stawili się u niego.

Przyszli w oznaczonej godzinie, a po przywitaniu i ugoszczeniu ich herbatą, rzekł Bal.

— Pułkownik Krasotin mieszka na Mokotowskiej. Wychodzącego pilnują ajenci, zbliżyć się nie wolno do niego. W pobliżu są posterunki policyjne i mnóstwo ajentów w jego mieszkaniu. Strzał, bomba grozi śmiercią niechybną czyniącemu zamach. Otoczą go i zginął.

— Jakże mu się poradzi? — spytał chmurny Młot.

— Powziąłem plan — tłómaczył Bal — można go zgładzić cicho, sztyletem i ucieczka pewna....

— No, słucham — patrzał Jan w oczy Bala

— Tamci z dzielnicy są zastraszeni nieudałymi dwoma zamachami, a tu trzeba zimnej krwi i odwagi.

— Pójdę — rzekł głucho Jan.

— Towarzysze! Kto z was włada wprawniej sztyletem?

— No... nie próbowałem tego kunsztu — uśmiechnął się Młot — ale uderzyć mogę.

— Otóż to — zawołał Jan — my z nożowniczej fabryki znamy się z tem.

— A więc towarzysz Jan pójdzie — zadecydował Bal — dzisiejszą noc przepędzicie u mnie, a rano zrobimy swoje.

— O której mam się stawić? — zapytał Jan.

— O dziesiątej; kolacya będzie gotowa i posłanie również.

— Nic tu po mnie — wstał Młot.

— Pójdziemy razem.

Na drugi dzień rano Bal o godzinie szóstej był już u tokarza na Kruczej i wysłuchał jego opowiadania.

— Pułkownik był w południe w domu, gdy stanąłem na czatach. Wyszedłszy, skręcił w ulicę Wilczą i doszedł do Alei Ujazdowskiej, gdzie siadł w dorożkę. Wrócił wieczorem do domu Mokotowską...

— I znów wyszedł? — spytał Bal.

— Tak jest, przez ulicę Piękną i odjechał. Po dwunastej w nocy powrócił ulicą Wilczą od Kruczej.

— Dziękuję wam... już wiem. Potrzeba mi prócz was dwóch jeszcze towarzyszy, znajdziecie?

— Za chwileczkę.

— Czekajcie... każdy z was siądzie w dorożkę, czy też zatrzyma dorożkę; jeden na Wilczej, drugi na Pięknej, trzeci na Mokotowskiej w kierunku Nowowiejskiej... tylko od wypadku czekacie, a po skończonej pracy odjeżdżacie... Oto pieniądze na wydatki.

— Będziemy czekali.

— Bylie ostrożnie — ostrzegał Bal, wychodząc z mieszkania.

Bal, słuchając opowiadania tokarza, rozumował, że jeżeli Krasotin wczoraj ani razu przy wyjściu z domu nie zużytkował ulicy Mokotowskiej, dziś powinien iść tą ulicą w miasto, gdyż w tej stronie nie spodziewa się zamachu. Może wprawdzie pójść również ulicą Piękną ku Ujazdowskim, ale jest to jedna z dalszych dróg, a tacy ludzie jak Krasotin obawiają się dalszej, pieszej drogi.

Na rogu Hożej i Mokotowskiej spotkał Bal w umówionem miejscu Jana, ubranego nienagannie w mundur rewirowego, a że niegdyś służył w wojsku, miał więc wszelkie pozory wysłużonego żołnierza.

— Towarzyszu Janie — przemówił Bal — najprawdopodobniej pułkownik będzie dziś szedł ulicą Mokotowską... Wy siądźcie sobie w restauracyi — wskazał niepozorny zakład — ja będę na straży i dam wam znak... a resztę już wiecie.

— Byle wyszedł — westchnął Jan, dręczony niepewnością i obawą.

— Siódma — spojrzał Bal na zegarek — może godzinę, może dwie musicie czekać.

W pół godziny później zobaczył Bal, że z kamienicy, w której mieszkał Krasotin, wyszło trzech mężczyzn; obejrzeli dokładnie ulicę, okna, bramy i rozeszli się idąc zwolna po jednej i drugiej stronie ulicy.

— Ajenci! — szepnął Bal i wyprzedzając ich o jakie trzydzieści kroków, szedł w kierunku placu św. Aleksandra.

Widząc otwarty sklep z papierosami wstąpił i właśnie zapalał kupiony papieros, gdy wszedł jeden z ajentów, obejrzał go — i zażądał zapałki.

(Ciąg dalszy nastąpi)

Amerykańska komisya w Galicyi.

Jedna z najdonioślejszych dziś kwestyj ekonomicznych i społecznych, kwestya emigracyi, jest przedmiotem szczegółowych badań zarówno ze strony rządów państw europejskich, z których ludność emigruje, jak ze strony rządu Stanów Zjednoczonych w Ameryce północnej, dokąd przeważnie emigranci europejscy się udają.

Z pomiędzy krajów, dostarczających Ameryce najwięcej wychodźców, wysuwa się Galicya na pierwszy plan. Ten kraj bogaty z natury i żyzny, ten kraj na wskróś rolniczy, jest dziś niestety tak zubożały, że dzieci swych wszystkich wyżywić nie może. Toż idą one corocznie tłumnie w dalekie, nieznane strony, idą hen za morze, aby tam szukać chleba i zarobku. Część galicyjskich emigrantów tam zostaje, zadowolona ze zmiany stosunków i dobrych zarobków, część zaś wraca po kilku latach, dorobiwszy się grosza i zakupuje w rodzinnych stronach grunty, by na nich pracować jak dawniej. A i ta część emigrantów, która w Ameryce pozostaje, pamięta o stronach ojczystych i na ręce swej rodziny przesyła w pewnych odstępach czasu zaoszczędzone sumy, które idą rocznie w miliony.

Z tego powodu, oraz ze względu na to, że emigranci galicyjscy uczą się w Ameryce gospodarki postępowej i kształcą swój umysł, ma emigracya czasowa wiele dodatnich stron, zwłaszcza jeżeli jest zorganizowana należycie i ujęta w karby.

Mniej przychylnem okiem patrzy na rosnącą wciąż immigracyę do swych krajów Ameryka i każdego roku pojawiają się tam projekty, dążące do utrudnienia dostępu obcym. Już dziś istnieje w Ameryce szereg ustaw i przepisów, według których wymaganą jest od immigrantów umiejętność czytania i pisania, dalej wiek odpowiedni, zdrowie, minimum środków ntrzymania i t. d.

Obecnie znowu pojawił się projekt, aby immigracyę do Ameryki wogóle powstrzymać. Celem rozpatrzenia całej tej zawiłej kwestyi, zbadania statystyki wychodźców europejskich i porozumienia się z europejskiemi władzami w celu uregulowania przypływu wychodźców, wysłał rząd amerykański do Europy komisyę, złożoną z kilku obywateli amerykańskich pod przewodnictwem Mr. Williama Wheelera.



Aparatem redakcyjnym fot. W. Lis.
Amerykańska komisya w Galicyi: Na dworcu w Oświęcimiu wita komisarz policyi Krzyżanowski przybyłych członków komisyi amerykańskiej.

Komisya ta przybyła i do Galicyi, była we Lwowie, Krakowie i Oświęcimiu, a następnie udała się do Rosyi. We Lwowie informowała się co do ruchu wychodźców w namiestnictwie i w dyrekcyi policyi, w Krakowie zasięgnęła informacyj w starostwie i policyi, w Oświęcimiu zaś udzielał potrzebnych wyjaśnień komisarz i kierownik tamtejszej ekspozytury policyi p. Krzyżanowski.

Członkowie komisyi: Mr. W. Wheeler, sekretarz Mr. Blnmenberg i Mr. Wheeler junior, wypytywali się szczegółowo o stosunki ekonomiczne w Galicyi i o statystykę wychodźców, ich wiek, dalej o przyczyny, które ludność tutejszą skłaniają do opuszczania kraju, wypytywali się też o to, czy wśród emigrantów jest duży procent przestępców i zbiegów. Po otrzymaniu od kom. Krzyżanowskiego, za pośrednictwem tłómacza, p. Kleinbergera z Krakowa, odpowiednich dat statystycznych, udali się członkowie komisyi do biura przewozowego Biesiadeckiej, gdzie również zasięgnęli tego rodzaju



Aparatem redakcyjnym fot. W. Lis.
Amerykańska komisya w Galicyi: Członkowie amerykańskiej komisyi przed halą robotniczą w Oświęcimiu. 1. Prezes komisyi Mr. William Wheeler; 2. Mr. Wheeler junior; 3. Sekretarz komisyi Mr. Blumenberg; 4. Komisarz Krzyżanowski; 5. Tłómacz p. Z. Kleinberger.

informacyj. Tam też spotkali przypadkowo pewnego emigranta, który po 6-letnim pobycie w Ameryce, gdzie pracował w fabryce fajek, wracał do Galicyi z zaoszczędzoną sumą 10.000 k. Zakupi on tu grunt swej rodzinie, poczem znowu uda się do Ameryki na zarobek. Emigrant ten, mówiący biegle po angielsku, dał członkom komisyi niejedną odpowiedź na interesujące ich kwestye.



Aparatem redakcyjnym fot. W. Lis.
Amerykańska komisya w Galicyi: Komisya przed biurem Biesiadeckiej. W głębi grono wychodźców.

Jaki będzie rezultat tej wycieczki amerykańskich komisarzy do Europy, trudno przewidzieć. Prawdopodobnie do zamknięcia granic amerykańskich państw przed europejskimi wychodźcami nie przyjdzie, nastąpią tylko zapewne nowe obostrzenia i utrudnienia. Nie bez podstaw jest też pogłoska, wedle której rządowi amerykańskiemu chodzi o to, by napływających stale i corocznie imigrantów rozdzielać równomiernie między poszczególne stany i w ten sposób ułatwiać amerykanizowanie się napływowego żywiołu, który dotąd skupiając się w większych ilościach w pewnych ogniskach, zatrzymywał tradycye narodowe, język ojczysty, budował w swoich koloniach szkoły itd.

* * *

Szereg zdjęć, dokonanych w Oświęcimiu z okazyi pobytu tam komisyi amerykańskiej, zamieszczamy w dzisiejszym numerze.

Banda rozbójników.

Przed trzema tygodniami opisaliśmy w „Now. Illustrowanych“ zbrodnicze czyny krwiożerczej bandy rozbójników, którzy w ciągu kilku dni dokonali w okolicy Gródka Jagiellońskiego całego szeregu morderstw i rabunków. Dzięki energicznemu śledztwu i gorliwym zabiegom trzech żandarmów, dwóch z Gródka, jednego z Przemyśla, cała banda dostała się w ręce sprawiedliwości.

Wieść o ujęciu niebezpiecznych rzezimieszków pozwoliła odetchnąć spokojnie mieszkańcom okolicy, gdzie szajka grasowała, poprzednio bowiem nikt nie był pewnym życia ni mienia.

A przerażenie to ogólne, panika jaka wśród ludności panowała, nie była bezpodstawną. Ujęci rabusie bowiem są to najgorszego gatunku wyrzutki społeczeństwa, indywidua znieprawione, których zawodem była kradzież i rabunek.

To życie ich, pełne zbrodni i namiętności, wycisnęło też na ich twarzach niezatarte piętno. Nie potrzeba być bezwzględnym zwolennikiem teoryi Lombrosa, aby na widok tych dzikich, odrażających postaci, tych oczu złowrogo przed się patrzących, nabrać przekonania, iż ma się do czynienia ze zbrodniarzami.

Hersztem bandy rozbójniczej z pod Gródka był młody, ale w rzemiośle bandyckiem dobrze wyćwiczony Piotr Czabak. Ubrany z miejska, mężczyzna silnie zbudowany, przystojny, z wąsami pretensyonalnie do góry podkręconymi, ma jednak na swej twarzy wyryty cynizm, bezczelność, która pokrywa niejako zwyrodniałe, zbrodnicze instynkta. Dwaj podkomendni Czabaka, Wawrzyniec Tuszkiewicz i Teodor Tyszek, to również postacie wcale nie ujmujące. Dzikie, nachmurzone oblicza, oczy ponure, zdradzają, że w duszach tych ludzi zbrodnia znalazła odpowiednie dla siebie miejsce. Do „towarzystwa“ należą i dwie damy, Marya Czabakowa, matka herszta szajki, kobieta stara, ślepa na jedno oko, z brodawką pod nosem, typowa megera, oraz jej córka, a siostra Piotra, Anna Pawliszynowa. Dalszą kompanię stanowili dwaj chłopacy wiejscy Jan Werdenko i Stefan Gałuszka, nierozwinięte umysłowo indywidua, o oczach idyotycznie przed się patrzących i tępym wyrazie twarzy, wreszcie Józef Steinbruch, stary żyd kaleka, włóczący się po wsiach i karczmach z katarynką.

Cała banda rozbójnicza znajduje się obecnie w więzieniu sądu karnego w Przemyślu, gdzie śledztwo przeciw nim prowadzi sędzia dr. Otmar Link.

* * *

Podobizny członków bandyckiej szajki zamieszczamy w dzisiejszym numerze.

Fot. M. Münz w Przemyślu.



Wawrzyniec Tuszkiewicz.



Anna Pawliszynowa.



Piotr Czabak.



Marya Czabakowa.



Teodor Tyszek.



Jan Werdenko.



Józef Steinbruch.



Stefan Gałuszka.

Wizyty ministrów.

Polityka — ta zmienna pani — wprowadza w bezustanne kłopoty swoich wielbicieli, a w szczególniejszą swą opiekę wzięła wszystkich dyplomatów i ministrów, czyniąc im często na przekór. Stałością pani ta nie grzeszy, nikt jej łaskami nie może się chwalić przez dłuższy czas, nie rzadko też jest przyczyną nader poważnych i gwałtownych starć swych przyjaciół politycznych.

Porzuciwszy kanclerza niemieckiego ks. Bülowa, na pastwę czarnej melancholii, odosobniając go od całego świata, rozjaśniła swe oblicze dla pp.: Aehrenthala i Tittoniego, ministrów gabinetów Austryi i Włoch, darząc ich swymi względami.

Półwysep bałkański, który już tyle zamieszek

sprowadził w Europie, w ostatnich czasach począł rwać przyjaźń i tych dwóch mocarstw, Austryi i Włoch, sprzymierzonych już od kilkunastu lat. Po szeregu wojen, jakie mocarstwa te prowadziły ze sobą w zeszłem stuleciu, nastąpił względny pokój, na wzmocnienie którego zawarto trójprzymierze, bo należą do niego i Niemcy.

Disiaj udało się pp. Aehrenthalowi i Tittoniemu ten trzeszczący budynek podmurować, by się zbyt rychło nie rozpadł.

Do pracy tej użyto nowego środka, bo istniejącego zaledwie od niewielu lat. Weszło obecnie w modę między dyplomatami, iż oddają sobie często urzędowo-przyjacielskie wizyty, na których bawią się w tennisa, spełniają liczne toasty, a w międzyczasie załatwiają sporne sprawy. Odwiedzinom takim nadają charakter towarzyski rodziny premierów.



Nowy japoński dyplomata: Keiroku Tsuzuki, japoński delegat na konferencyi pokojowej w Hadze.

Zjazd taki odbył się obecnie we Włoszech, w miejscowości Desio, gdzie włoski minister spraw zagranicznych Tittoni, podejmował w willi swej Traversi swego wiedeńskiego kolegę Aehrenthala. Załączona fotografia przedstawia nam obu ministrów, panią Tittoni, ambasadora hr. Lützowa i bar. Gagerne, zebranych w parku willi.

Przyszłość okaże nam, czy zawarta tutaj zgoda, nie będzie wymagała wkrótce nowych wizyt....



Fct. G. Apello w Medyolanie.

Wizyty premierów: 1. Tittoni. 2. Aehrenthal. 3. Pani Tittoni. 4. Poseł austryacki hr. Lützow i stojący w tyle br. Gagern.

Nowy japoński dyplomata.

Od kilkunastu lat poczęły się rozchodzić po prasie europejskiej głosy, przestrzegające przed „żółtem niebezpieczeństwem“. Co jakiś czas nadchodziły z Azyi wieści, że w tym na pozór uśpionym olbrzymie, nie jest tak spokojnie, jak się to wydaje europejskim politykom. Mocarstwa Europy, dumne ze swej okutej w żelazo pięści, nie zwracały na te przestrogi żadnej uwagi, aż wybuchł w Chinach ruch bokserów, podczas którego zginęło tyle tysięcy obcokrajowców i chrześcijan. Całą armię trzeba było wysłać wówczas na ochronę białych tam przebywających kolonistów. Powstanie to jednak zgnieciono i znowu spokój, a z nim i lekceważenie powróciło, gdy naraz mała, drobna Japonia, znana dotychczas ze swych wachlarzyków i operetki „Gejszy“, stanęła do olbrzymiej walki i okryła się w niej niebywałą sławą.

Japonia, dzięki tej wojnie, wybiła się na stanowisko pierwszorzędnego mocarstwa i jak groźną się stała dla Europy, tak teraz śmiało zwraca wyloty swych armat na Amerykę. Potęgę Japonii stworzyli jej dowódcy i politycy, którzy nietylko nie ustępują w niczem swoim europejskim kolegom, ale ich pod niejednym względem i przewyższają.

Fotografię jednego z japońskich dyplomatów dzisiaj możemy podać naszym czytelnikom. Jest to Keiroku Tsuzuki, pierwszy delegat Japonii na konferencyi pokojowej w Hadze. O zdolnościach jego najlepiej świadczyć może poważanie, jakie zdobył sobie odrazu między delegatami innych mocarstw. Przedewszystkiem uderza w nim ta cecha, iż nic nie ma w sobie z azyatyckiego charakteru, lecz wysoką europejską ogładę. Włada biegle kilkoma językami, co mu znacznie pomaga w stosunkach z europejskimi kolegami. Jak zaś wiele wagi przykłada Japonia do jego misyi, świadczy i ten fakt, iż instrukcyi udzielił mu osobiście cesarz japoński Mutsuhito, co dodaje powagi i samemu delegatowi. Po skończeniu konferencyi będziemy mogli przekonać się, co ona przyniosła światu i jakie role grały w niej różne mocarstwa, a między niemi i to nowe żółte mocarstwo Japonia, w osobie swego przedstawiciela Keiroku Tsuzuki.

Praca na wschodnich kresach.

Wdzięczne, szczerze patryotyczne, choć żmudne zadanie wzięły na swe barki Koła miejscowe Tow. S. L. w Galicyi wschodniej, gdzie w morzu żywiołu ruskiego żyje sporo ludności polskiej, która wśród nieprzychylnego dla siebie otoczenia wynaradawia się, zapomina mowy ojczystej a w wielu wypadkach przechodzi wprost na obrządek grecko-katolicki i odtąd jest dla narodowości polskiej na zawsze straconą. Otóż Koła T. S. L. w Galicyi wschodniej wzięły sobie za zadanie zakładać na kresach szkoły polskie, czytelnie i wypożyczalnie książek, aby dać polskiej ludności tamtejszej możność nauczenia się języka ojczystego i zapoznania się z dostępnemi dla niej arcydziełami literatury naszej.

W rzędzie tych kół wschodnio-galicyjskich odznacza się gorliwością w wypełnianiu obowiązków narodowych Koło T. S. L. w Kołomyi. Wprawdzie w okręgu kołomyjskim mieszka około 20% ludności polskiej, szkoły jednak z językiem wykładowym polskim znajdują się tylko w Kołomyi i Gwoździcu, dziatwa zaś reszty ludności polskiej, rozsianej po miasteczkach i wsiach Pokucia, zmuszoną jest do uczęszczania do szkół ludowych z językiem wykładowym ruskim, gdzie z powodu macoszego traktowania nauki języka polskiego, nie nabywa zupeł-



Praca na wschodnich kresach: Kościółek w Zamulińcach.



Praca na wschodnich kresach: Dziatwa polska obok szkoły T. S. L. w Zamulińcach.

nie znajomości mowy ojczystej, której i wynarodowieni przeważnie rodzice nauczyć jej nie mogą.

Dla ratowania polskości tych przyszłych członków naszego społeczeństwa, Koło T. S. L. w Kołomyi wybrało podwójną drogę. Mianowie w miejscowościach, gdzie ilość dzieci w wieku szkolnym przewyższa liczbę 40, Towarzystwo zakłada prywatne szkoły ludowe i po wykazaniu ustawowo wymaganej frekwencyi dzieci, stara się o przyjęcie siły nauczycielskiej na etat krajowy, samo ponosi jednak koszta utrzymania szkoły. W miejscowościach zaś, gdzie dzieci polskich, uczęszczających do ruskiej szkoły, jest mniej niż 40, urządza Koło w godzinach poza szkolnych uzupełniające kursy nauki języka polskiego, historyi i literatury polskiej, oraz śpiewów narodowych.

Szkoły utrzymywane przez T. S. L. znajdują się we wsiach: Garby ad Kamionki wielkie (jednoklasowa), Rosochacz (dwuklasowa im. T. Kościuszki), Kułaczkowce (jednoklasowa im. B. Głowackiego) i Święty Józef (czteroklasowa im. A. Mickiewicza). Kursy zaś języka polskiego istnieją w okręgu kołomyjskim w Zamulińcach, w Turce, w Michałkowie i w Ceniawie.

Popisy, które się w tych szkołach i kursach z końcem roku szkolnego odbyły, wykazały dodatnie wyniki pracy oświatowej i narodowej.

* * *

W uzupełnieniu tego artykuliku zamieszczamy w dzisiejszym numerze trzy zdjęcia, przedstawiające: kaplicę w Zamulińcach, dziatwę zebraną obok budynku szkolnego tamże oraz dziatwę szkolną na Garbach.



Praca na wschodnich kresach: Dziatwa polska ze szkoły T. S. L. na Garbach.

Jeszcze zmiany w armii.

Z powodu przeniesienia zbrojmistrza Alboriego na stanowisko generalnego inspektora armii, opróżnione zostało miejsce komendanta krajów okupowanych Bośni i Hercogowiny. Na stanowisko to trudne i odpowiedzialne, bo łączące władzę wojskową z administracyjną, powołany został komendant V-tej dywizyi piechoty, marszałek polny-porucznik Winzor.

Nowy szef krajów okupowanych urodził się na Morawie w 1844. Karyerę wojskową rozpoczął od służby w charakterze jednorocznego ochotnika pułku ułanów. Dosłużywszy się stopnia podporucznika odbył całą kampanię pruską, poczem został przydzielony do sztabu jeneralnego. Następnie uczęszczał do szkoły wojennej a awansując kolejno został w 1897 r. pułkownikiem i szefem sztabu jeneralnego przy XV korpusie. Ostatnio był komendantem V dywizyi piechoty.

Druga zmiana zaszła w komendzie korpusu zagrzebskiego. Równocześnie niemal z ustąpieniem bana hr. Pejacsevicza, ustąpił i komendant korpusu chorwackiego, zbrojmistrz Chavanne, na którego miejsce cesarz powołał marszałka polnego-porucznika Rajmunda Gerbę. Nominacya ta ma znaczenie nietylko wojskowe ale i polityczne, zwłaszcza że pominięto kilku starszych kandydatów. Przyczyny szukać należy w ostatnich wypadkach chorwacko-węgierskich, które zapowiadały nietylko ostrą opozycyę Chorwatów wobec rządu węgierskiego, ale i demonstracye przeciw narzuconemu banowi, dr. Rakodczayowi. Nowy komendant korpusu zagrzebskiego jest bowiem człowiekiem bardzo wytrawnym, patrzącym zimno i trzeźwo na świat cały, ma więc warunki, aby w trudnej sytuacyi nie stracić panowania nad sobą.

Jenerał Gerba, urodzony w Ogulinie w 1849 r., poświęcił się od młodości zawodowi wojskowemu i jako porucznik przydzielony do sztabu jeneralnego, odbył w 1878 r. wyprawę do Bośni. Następnie przechodził kolejno szczeble karyery wojskowej i w r. 1904 został porucznikiem-marszałkiem polnym. Od lat czteru przebywa w Chorwacyi, miał więc dość czasu zapoznać się z tamtejszymi stosunkami.

Spodziewać się należy, że nowomianowany komendant korpusu nie będzie potrzebował korzystać ze swego doświadczenia wojskowego w obrębie granic Chorwacyi. Jakkolwiek bowiem sytuacya polityczna w kraju tym przedstawia się dosyć poważnie, to jednak nie ma na razie potrzeby do interwencyi siły zbrojnej.

* * *

W dzisiejszym numerze zamieszczamy portrety obu nowomianowanych dygnitarzy wojskowych.



Jeszcze zmiany w armii: Nowy szef krajów okupowanych, gen. Winzor.



Jeszcze zmiany w armii: Nowy komendant korpusu w Zagrzebiu, gen. Gerba.

Piotr Zacone.

Zbrodnia przy ulicy Monge

Sensacyjny romans kryminalny. Tłomaczyła z francuskiego Marya S.

2 (Ciąg dalszy).

— Przedewszystkiem nie należy błądzić — mówił dalej Buvard — a ja osobiście trzymając się tej tradycyi, nabrałem przyzwyczajeń starego badacza, które może nie zawsze są pewne, ale jednak bardzo często były mi pomocne tam, gdzie sprawa zdawała się być bardzo ciemną i zawikłaną...

— Jestto nowy system — zauważył lekarz.

— Zdaje mi się.

— I czy można wiedzieć na czem polega?

— Polega na drobiazgowej analizie sposobu, w jaki zbrodnia została spełnioną.

— Nie rozumiem.

— Zaraz pan zrozumie — odparł ajent. — Ludzie są prawie do siebie podobni. Wszyscy mamy oczy, nos, uszy i pod paltotem, który nas okrywa, pod kapeluszem, który chroni nasze głowy, przedstawiamy się wszyscy na pozór zrobieni na jeden model. Ale odróżnia nas jakiś indywidualny sposób chodzenia, odrębne ruchy, sposób wyrażania się; wogóle coś nieuchwytnego, czysto osobistego, co wywołuje — wybaczcie mi panowie grube porównanie — że doktor nie kicha w ten sam sposób, co komisarz policyi... a ajent policyjny inaczej przystępuje do hygienicznego czyszczenia nosa, niż byle jaki rzezimieszek.

— Pan może ma słuszność — zauważył komisarz.

— Ja mam na pewno słuszność — ciągnął dalej ajent Buvard. — Doświadczenie długoletnie przekonało mnie o tem dostatecznie, bo odkrywszy tę teoryę, ja pierwszy zdaje mi się wprowadziłem ją w praktyczne zastosowanie i przyznać muszę, wywołała ona przedziwne skutki.

— Dobrze, ale w wypadku niniejszym?

— Nim odpowiem, ośmielę się zapytać p. komisarza, czy przypomina sobie, w jaki to oryginalny sposób odkrył Wiqoq jeszcze za panowania Ludwika Filipa sprawcę głośnej kradzieży medalionów?

— A jakże — odpowiedział komisarz — w swoim czasie narobiło to niemało hałasu. Wiqoq zauważył w jednej ze sal biblioteki ślady świecy stearynowej i odrazu wpadł na myśl, że kradzież popełnić musiał niejaki Froissard, znany wszędzie ze swych kobiecych przyzwyczajeń i który wolałby wyrzec się kradzieży, jak użyć do poszukiwań łojowej, śmierdzącej świecy.

— To było świetne — przyznał ajent. — W dniu tym przemówił przez Wiqoq'a geniusz obserwacyjny i on to był inicyatorem owego systemu „badania sposobu postępowania“. Rozumie pan? Ajent zwyczajny i głupi, na widok tej podwójnej zbrodni, poszukiwałby przedewszystkiem faktów, towarzyszących zbrodni. Ale my, z tej nowej szkoły, działamy inaczej. Znam tego człowieka, który tu leży, to Cornic! Przed ośmiu dniami uwiadomiono nas, że uciekł z więzienia; wszystko więc tutaj wskazuje, że został zamordowany przez wspólnika. Wiemy, że pomiędzy tą sławną armią morderców istnieje zupełna solidarność i chyba w wypadku nadzwyczajnej, bijącej w oczy zdrady, zbrodniarz zabije swojego towarzysza... a w mojej długoletniej praktyce spotkałem tylko jednego człowieka, któremuby to z łatwością przyszło uczynić.

— A któż tym człowiekiem?

Ajent miał już odpowiedzieć doktorowi, gdy poczuł, że ktoś dotyka jego ramienia. Odwrócił się szybko i zobaczył człowieka, który dopiero co był wszedł do pokoju. Na jego widok twarz Buvard'a rozjaśniła się.

Tą nową osobistością był Rigolo, towarzysz i prawa ręka ajenta.

ROZDZIAŁ IV.

Rigolo się zjawia.

Rigolo liczył w owym czasie lat 40, twarz miał bladą, czoło lekko w tył podane, oczy przenikliwe i fałszywe. Od niedawna należał do policyi, ale od początku służby zdradzał takie niezwykłe zdolności w tym kierunku, że ajent Buvard od razu zwrócił na niego uwagę. Dotąd jednakże nie przydzielano go do żadnej ważniejszej sprawy i Rigolo drżał z pragnienia, by wykazać swoje zdolności. Zbrodnia przy ulicy Monge miała mu szczególniej dopomódz do wyrobienia sobie karyery policyjnej.

— Ah, ah, jesteś! — zawołał z radością Buvard — może masz nam coś szczególnego do doniesienia?

Pociągnął swojego wiernego towarzysza w kąt pokoju, aby nie być słyszanym przez otaczających.

— Cóż to jest? — zapytał — mów teraz, a prędko i dobrze, bo wiesz, że nie mam czasu do stracenia.

— Owszem! Rzecz się ma tak: Przed godziną dowiedziałem się o tej sprawie i zaraz przybiegłem. Powiedziano mi jednak, że pan jest zajęty, poszedłem więc trochę pogawędzić z chłopcem usługującym. Rozumie pan, że nie robiłem głuchego. Podczas gdy mi on opowiadał, przyszła mi myśl pewna; gdyście panowie wszyscy byli na drugiem piętrze, mnie pociągnęła ciekawość na trzecie. Franciszek, ten chłopiec, zrozumiał mnie odrazu. To rozgarnięty chłopak! Poszliśmy więc obaj pod nr. 12, to jest do pokoju, który mieści się nad pokojem tego Lesparre'a. Słyszałem, jak tu mówiono, że zbrodniarz mógł zejść oknem z nr. 12 i chciałem się przekonać, czy to możliwe.

— I cóż zobaczyłeś?

— Kilka odrapań muru, ślady nogi na gzymsie... wogóle dostrzegłem wszelkie ślady, pozwalające twierdzić, że rzeczywiście ktoś musiał tamtędy schodzić.

— Ja o tem wiedziałem... Czy pytałeś się, kto zamieszkuje ten pokój?

— Tak; lokator jest człowiekiem lat około pięćdziesięciu... jakiś milczek, który od dawna zapomniał śmiać się... i który był tu wszystkiego trzy razy, w przeciągu dwóch tygodni.

— Pod jakiem nazwiskiem jest on zapisany?...

— Pod pożyczonem nazwiskiem... Jeremiasz Dublick. I to wszystko, o czem dowiedzieć się mogłem, chociaż to jest bardzo mało. A ponieważ nie byłem zadowolony z siebie, poszukiwałem dalej i znalazłem coś wogóle, jakąś drobnostkę, głupstewko niby nieznaczne.

— I cóż znalazłeś?

— Przewąchałem wszystkie kąty — rzekł szeptem — wszystkie dziury. Chyba nie od parady mogę się pochwalić węchem, któregoby się nie powstydził najbardziej rasowy wyżeł... Miałem coś, jakby przeczucie i podczas kilkunastu minut..

— No, no... — nalegał zaciekawiony Buvard.

Rigolo wyciągnął z kieszeni surduta jakiś przedmiot i podsunął go pod oczy ajenta.

— Co to jest?

— Proszę patrzeć!

— Co? spinka od mankietów? I to ty znalazłeś?!

— W rogu, na lewo, w oknie; co prawda, trzeba było mieć kocie oczy, żeby coś dojrzeć w tej ciemności.

Buvard nic nie odpowiedział. Wziął do ręki spinkę, którą znalazł jego współpracownik i obracał ją na wszystkie strony. Od czasu do czasu błysk radości rozjaśniał jego oczy.

— Brylant! prawdziwy brylant! — szeptał. — O! znam się na tem, to warte 2.000 fr. jak bułka za grosz!... Mając to w rękach, będzie nam łatwo pójść dalej.

Zwrócił się do Rigola, który mu się w milczeniu przypatrywał.

— Ah, mój kochany! masz szczęście na początek; to mi się bardzo podoba, ale sądzę, że na tem nie poprzestaniesz.

Myślałem tak samo, jak i pan — odparł Rigolo.

— Jubilerzy paryscy nie są przecież niemi, do licha, w każdym razie znajdziemy sposób, który im rozwiąże języki. Od dzisiaj poświęcisz się więc poszukiwaniom. Przebiegniesz Palais Royal, ulicę Zgody, zapukasz do wszystkich jubilerów i jeżeli jutro będziesz nam mógł powiedzieć, komu ta spinka została sprzedaną, powiadam ci, mój chłopcze: przyszłość twoja zapewniona.

Rigolo aż zbladł z radości. Machinalnie postąpił parę kroków, jakby chcąc odejść. Buvard go zatrzymał.

— Jeszcze chwilę — dodał — bądź ostrożny! ta spinka jest wcale ładna i posiada oryginalną oprawę, nie daj się podejść; gdyby cię coś spotkało, przyjdź mnie zaraz uwiadomić. Może i ja będę do tego czasu coś zdolny.

Po tych słowach Rigolo pożegnał ajenta i zbiegł ze schodów, jakby go stado dyabłów goniło. Niedaleko od hotelu znajdował się postój dorożek. Gwizdnął na jedną z nich i wsiadł.

— Do Palais Royal! a prędko! — zawołał do dorożkarza.

ROZDZIAŁ V.

Ślad.

W dwadzieścia minut później dorożka zatrzymała się na ulicy Valois... przed galeryą orleańską.

— Zaczekacie tu na mnie — rzekł Rigolo, wyskakując na chodnik — i nie niecierpliwcie się. Może być, że będę dłużej nieobecny, ale bądźcie spokojni i nie stracicie na tem. — Poczem zapuścił się w galeryę.

Każdemu wiadomo, że Pałac Królewski był przez wszystkie czasy kątem ulubionym przez jubilerów; tam też najwięcej gromadzą się ciekawi amatorzy dyamentów, i drogich kamieni. Rigolo szedł spiesznie niespokojny i podniecony. Nareszcie zatrzymał się przed magazynem Boudet'a i bez namysłu nacisnął klamkę. Subjekt podbiegł natychmiast do niego. Rigolo wyglądał niepokaźnie; miał wygląd człowieka ubogiego, ale nie troszczył się o to. Subjekt przypatrywał mu się podejrzliwie. Rigolo skłonił się zgrabnie i uśmiechnął się słodko.

— Pan Boudet? — zapytał.

— Nieobecny - odpowiedział subjekt.

— Czy prędko powróci?

— Nie wiem.

— A w jego nieobecności, do kogo można się zwrócić?

— Do mnie.

Rigolo skłonił się po raz wtóry, wyciągnął z kieszeni bilet i podał go subjektowi. Ten rzucił pospiesznie na niego okiem i natychmiast zmienił swoje postępowanie.

— Pan jest... — zaczął —

— Jestem Rigolo — odpowiedział ajent — i przychodzę prosić pana o pewne informacye... których, mam nadzieję, nie zechce mi pan odmówić...

— Jestem do usług pana.

— Bardzo dziękuję. Chodzi tu o rzecz wielkiej wagi. Chciałbym się dowiedzieć, czy panu nie jest przypadkiem znany ten przedmiot?

Mówiąc to, podał subjektowi spinkę, znalezioną rano na ulicy Monge. Subjekt wziął brylant, obejrzał go dokładnie i wzruszył ramionami.

— To nie u nas kupione — powiedział.

— Czy to rzecz wartościowa? — nalegał Rigolo.

— Ta spinka warta jest do tysiąca luidorów.

— I pan twierdzi, że robota ta nie wyszła z tego magazynu?

— Twierdzę stanowczo. Ale może się pan zechce zwrócić do Fontany, może on pana poinformuje lepiej.

— Tak też uczynię. Przepraszam za fatygę; powrócę później, jeśli zajdzie potrzeba.

Po tych słowach Rigolo wyszedł. Skierował się do sklepu Fontany, który znajdował się na drugim końcu galeryi. Ale i tutaj nie dowiedział się niczego. Wrócił więc do dorożki i kazał się zawieźć na ul. Zgody do Sampera pod nr. 16. Nadzieja jego trochę się zachwiała, zaczął wątpić w szczęśliwe zakończenie sprawy i z niepokojem zapytywał siebie, co uczyni, jeżeli okaże się, że brylant znaleziony na ul. Monge był gdzieś kupiony poza granicami Francyi. Rigolo posmutniał. Jednakże u Sampera zdarzył się radosny dla niego wypadek. Przedstawił się wchodząc i objaśnił cel przybycia. Właściciel trzymając dyament w ręce przypatrywał się mu z zajęciem. Trwało to ze dwie minuty, poczem kręcąc przecząco głową miał już zamiar zwrócić spinkę ajentowi.

— A więc nie zna pan tej spinki?—zapytał zniecierpliwiony już Rigolo.

— Ten klejnot nie wyszedł z naszej pracowni— odpowiedział zapytany.

— I nie może mnie pan poinformować, od jakiego jubilera on pochodzi?

— Staram się, ale... a może...

Twarz jubilera rozjaśniła się nagle. W tej chwili znajdował się w magazynie staruszek o spiczastym długim nosie, o brodzie nastrzępionej, nierównej, ubrany bardzo skromnie, który siedząc przy małym stoliczku oglądał cały stos drogich kamieni, rozrzucony przed nim. Jubiler zbliżył się do niego:

— Przepraszam pana, panie Beckmann — rzekł, z uszanowaniem zwracając się do staruszka — ale sądzę, że pan jedynie w całym Paryżu będzie mógł objaśnić pana o pochodzeniu tego kamienia.

Mówiąc to podsunął mu spinkę i bilet Rigola.

Pan Beckman poruszył się, ale nie wiadomo, czy to widok brylantu, czy karty tak go poruszył.

Wziął spinkę, podrzucił ją na dłoni, poczem założywszy lupę w oko, w milczeniu ją obejrzał.

— Bardzo piękny!... bardzo — wyszeptał po chwili. — To pochodzi z Holandyi... jestem prawie pewny, że z pracowni Vanstrad'a w Amsterdamie. Tylko kamień został tu oprawiony, w Paryżu.

— Tak pan myśli? — rzekł Rigolo zaciekawiony.

Staruszek uśmiechnął się ironicznie.

— Wątpisz o tem — zdawał się mówić ten uśmiech — tak sądzę — rzekł głośno.

— A czy może mi pan powiedzieć, u jakiego złotnika ta oprawa została sporządzona?

Pan Beckmann zawahał się. Przyjrzał się jeszcze staranniej spince i wyrzekł głośno:

— Zobacz pan u Zimmera, 49 na ulicy Vivienne. Jeżeli to nie on oprawiał ten kamień, to nie widzę tu drugiego, któryby mógł tak odrobić to małe arcydziełko... chyba Kraffmüller z Wiednia...

Rigolo już był dostateczeie poinformowany. Podziękował gorąco jubilerowi i panu Beckmannowi i pobiegł do dorożki, która na niego czekała.

— Na ul. Vivienne 49 — rzucił dorożkarzowi gorączkowo.

Ruszyli wyciągniętym kłusem. Po pięciu minutach stanęli przed wskazanym adresem.

— Pan Zimmer? — spytał Rigolo, przechodząc koło loży portyera.

— Na trzeciem, drzwi na prawo — brzmiała odpowiedź.

Zimmer mógł jednem słowem rozświetlić całą sprawę; trzymał on w swoich dłoniach tajemnicę z ul. Monge. Krew uderzyła Rigolowi do skroni, serce biło nierówno. Na drugiem piętrze musiał się zatrzymać, aby tchu nabrać. Na drzwiach na prawo widniał napis na blaszce: „Zimmer złotnik“. Rigolo nerwowo pociągnął za taśmę od dzwonka. Służąca przyszła otworzyć.

— Pan Zimmer jest w domu? — zapytał ajent.

Proszę wejść.

Przeszedł jeden pokój i znalazł się w drugim od podwórza. W tym pokoju schylony nad stołem pracował jakiś mężczyzna.

— Pan Zimmer? — zapytał Rigolo, zbliżając się.

— Tak, to ja — odpowiedział złotnik, wstając na przyjęcie gościa.

Rigolo bez zwłoki podał swoją kartę i pokazał spinkę.

— Przed chwilą powiedziano mi u p. Sampera na ul. Zgody, że pan będzie mnie mógł objaśnić, skąd pochodzi ten klejnocik, a może przypomni pan sobie, komu go sprzedał.

Zimmer nie odpowiedział zaraz. Po chwili podniósł głowę, uśmiechnął się i spojrzał Rigolowi w oczy otwarcie.

— Pan poznaje tę spinkę? — zawołał tenże z radością. — Pochodzi z pańskiej pracowni?

— Tak jest.

— Pan niedawno to musiał sprzedać?

— Będzie temu tydzień zaledwie.

— A więc będzie mi pan może mógł powiedzieć...

Zimmer potrząsnął przeczącą głową:

— Powiem tylko to, co wiedzieć mogę, gdyż nie mam celu ukrywania czegokolwiek przed policyą; zapisuję wszystkie moje zakupna i sprzedaże w osobnej księdze, którą prowadzi z drobiazgową sumiennością młody człowiek, godny zupełnego zaufania i jeżeli pan zechce, możemy się za chwilę wszystkiego dowiedzić.

Pan Zimer mówiąc to zadzwonił. Na odgłos ten wbiegł do pokoju młody człowiek. Mógł mieć lat 22 najwyżej, był szczupły, oko miał żywe, wygląd sympatyczny.

— Panie Karolu — rzekł Zimmer — zechciej pan przynieść księgę sprzedaży.

Młody człowiek wybiegł natychmiast i powrócił po chwili z ogromnym foliałem pod pachą, który roztworzył na stole. Zimmer podszedł i zaczął przewracać kartki. Rigolo z bijącem sercem, powstrzymując oddech, czekał niecierpliwie.

— Popatrzmy — rzekł Zimmer — dziś mamy 31 maja, przedmiot sprzedany został ośm dni temu, tak; a więc to było 23, lub 24... o! patrz pan właśnie tak jest.

I palcem wskazał na kartę, na której zapisaną została sprzedaż spinek, oprawionych w jego pracowni a oddanych niejakiej pani Sorel, mieszkającej na ul. Malignon 24. Rigolo skwapliwie zapisał ten adres.

— Bardzo być może, że to fałszywe nazwisko i fałszywy adres — rzekł zapisując — ale trudno, nie można niczego zaniedbać, a przekonamy się niedługo, jak rzeczy stoją. Jeszcze o jedną rzecz zapytam się pana: czy pan widział tę osobę, tę p. Sorel?

— Nie.

— Jakże to mogło być?

— Była zawoalowaną; woalka była ciemna i gęsta i przyznam się panu otwarcie, mało wogóle zwracam uwagi na kobiety.

— Jednakże musiało panu zostać wrażenie, czy była starą czy młodą?

— Młodą.



Bardzo piękny! bardzo... — wyszeptał po chwili. — To pochodzi z Holandyi..

— Mała, czy duża?

— Średniego wzrostu.

— A toaleta, zachowanie się?

— Wszystko było w zupełnym porządku i przysiągłbym, że to była kobieta światowa.

Młody pomocnik milczał dotąd. Przy ostatnich słowach pryncypała zbliżył się.

— Czy pozwoli mi pan wyjawić pewne małe spostrzeżenie, jakie uczyniłem, a może będzie ono temu panu przydatne.

— Co za spostrzeżenie? — zapytał Rigolo, którego uderzyła inteligencya, bijąca z oczu młodego człowieka.

— Oto — rzekł pomocnik — dama, o której mówi pan Zimmer, rzeczywiście była zawoalowana, lecz zauważyłem jej figurę, jej wytworną toaletę i przyznam, że zostałem owładnięty, dziwną ciekawością. Przecież to nie jest rzecz wzbroniona?...

— Owszem, jest to nawet rzecz gorąco polecana — rzekł Rigolo z uśmiechem.

— Otóż gdy ta pani wypłaciła panu Zimmerowi umówioną cenę za oprawę tych spinek — wynoszącą 500 franków — poszedłem za nią aż na schody i odprowadziłem ją do ulicy, myśląc że przecież podniesie woalkę i pokaże swoją twarz.

— I widziałeś ją pan?

— Nie! Ale jeżeli nie dojrzałem twarzy, dojrzałem numer dorożki, do której wsiadła i myślę, że porozumiawszy się ze stangretem dorożki, która nosiła nr. 10.152, będzie pan mógł się dowiedzieć, jak ta osoba spędziła dzień 24 maja.

Rigolo milczał wzruszony. Wzrok jego z rozrzewnieniem spoczywał na młodym pomocniku pana Zimmera. Po chwili uniesiony wdzięczuością, życzliwie uszczypnął w ucho młodego człowieka...

— Dobrze, dobrze! — szepnął. — Jesteś pan wyjątkowym pomocnikiem, panie Karolu. Zapisuję sobie zaraz numer fiakra. Do widzenia tymczasem, a mam nadzieję, że się jeszcze zobaczymy!...

Rigolo biegł po schodach, jakby unoszony na skrzydłach i kazał się zawieść na ul. Matignon. Na ul. Matignon dozorca domu oznajmił mu, że nie mieszka tu żadna pani Sorel. Rigolo spodziewał się trochę tego. Bez zaprzeczenia znajdował się na tropie. Teraz należało udać się do dorożkarza nr. 10.152. Po południu około 2-giej godziny siedział już na rogu ul. Mail w szynku, w towarzystwie tęgiego, czerwonego zucha. Dorożkarz nazywał się Jeremiasz Papelard' i miał jaknajlepszą opinię w stowarzyszeniu. Rigolo przedstawił mu, o co chodzi. Dorożkarz mrugnął okiem i zaśmiał się szeroko.

— Aha! Wiem o co chodzi — zawołał — do dyabła, ta kobietka warta takich zabiegów i rozumiem, że mąż pragnie wiedzieć, gdzie dnie swoje spędza filutka.

— I możecie mi powiedzieć, co robiła w dniu 24 maja?

— Owszem. Zabrałem tę panią na placu Magdaleny. Wtedy nie było jeszcze żadnej oznaki szczególnej, jak opiewają paszporty. Była ubrana skromnie, suknia z ciemnego jedwabiu, kapotka z piór, woalka gęsta, zakrywająca twarz całą.... Wsiadła tak lekko, że ledwie miałem czas się odwrócić i dojrzeć koniuszek wąskiej nóżki. Pojechaliśmy na ul. Vivienne, gdzie czekałem dobry kwadrans. Potem ona znowu wsiadła i cienkim głosikiem rzuciła adres: plac Maubert 17.

— Plac Maubert! — zawołał podskakując Rigolo.

— To było już dziwne. Ale nic nie mówię, tylko popędzam konie. Przejeżdżam przez ulicę Rivoli, Châtelet, koło placu Sprawiedliwości i zatrzymuję się przed domem bardzo podejrzanym, gdzie przyjmują na nocleg. Zrozumiałem! Nie trzeba było być mędrcem na to. Damulka szła na *rendez-vous*. Osądziłem, że miałem dosyć czasu przegryść coś i wychylić szklankę. Ale nie przeczuwałem tego, co się później stało. Po pół godzinie wygramoliłem się na mój kozioł i zacząłem drzemać w najlepsze, gdy w tem powóz zakołysał się trochę. Ktoś otworzył drzwiczki i wskoczył do środka.

— Ta pani?

— Phi! żeby to! moja damulka przemieniła się w młodego chłopca! Chciałem protestować, ale smarkacz wsunął mi w łapę 20 fr. i przykładając palce do ust, szepnął: „ulica Helder 36“. Na szatana! zgłupiałem! Bez słowa przewiozłem go na ul. Helder. Tu mój młody chłopiec wyskakuje, znika w domu wyglądającym bardzo porządnie, a ja czekam dobrą godzinę na niego. I tu znowu inny obrazek! Zamiast chłopca przychodzi kobieta. Ho! ho! myślę sobie. Ładna historya! Zaczynało mi się to nie podobać. Obserwuję jednak dalej. „Na plac Magdaleny!“ powiada kobietka, ale na placu otrzymawszy od damulki nową sztukę złota — powierzam moją szkapę towarzyszowi i śledzę moją pasażerkę — która sunie w dzielnicę Saint-Honore...

Ciąg dalszy nastąpi.

Nowy zamach.

Po wielkich burzach nie zwraca się uwagi na małe chmurki, tak i społeczeństwa przeżywające przez pewien czas głębsze wstrząśnienia polityczne, nie odczuwają już należycie mniejszych, lecz jako odosobniony fakt, nie mniej złowrogich wybuchów. Objaw taki daje się spostrzegać obecnie w Królestwie. Ludność przyzwyczajona do gromadnych zamachów, do przerażających wybuchów bomb, do ciągłego napięcia nerwów w oczekiwaniu coraz to nowych wylewów krwi, przerażona tym stanem nie spostrzega, zdaje się nie zauważać, że jeszcze spokój nie nastąpił, że jeszcze w dolnych pokładach wrzenie nie ucichło, jak o tem świadczy ostatnia bomba w Radomiu.

Dnia 10 bm. policmajster m. Radomia p. Sergiusz Gorskij jak zwykle, około godz. 1-ej popołudniu jechał ul. Lubelską do gubernatora w celu zdania raportu. Według zwyczaju towarzyszyło policmajstrowi dwóch kozaków. Gdy powóz mijał dom oznaczony nr. 32, tuż w pobliżu stacyi telefonów radomskich, spostrzegł nagle p. Gorskij stojącego na chodniku młodzieńca, który w wyciągniętej ręce trzymał jakiś przedmiot gotowy do rzutu. Zanim zdążył sięgnąć po rewolwer, przeczuwając dobrze



Nowy zamach: Policmajster Radomia, Sergiusz Gorskij.

zamach na siebie, rozległ się ogłuszający huk, brzęk szyb, krzyk przechodniów; podnoszący się z ziemi słup dymu wszystko przysłonił, z czego też skorzystał sprawca wybuchu, uciekając przez jakąś bramę, tak iż nie można go było odszukać. Spłoszone konie poniosły powóz aż na plac cerkiewny, gdzie zdołano dopiero je zatrzymać. Zbiegli się wszyscy ratować policmajstra, lecz ten wyszedł z zamachu zupełnie zdrów, jak również i woźnica, który lekko ranny w twarz, obsypany był jakimś żółtym proszkiem. Natomiast poranione zostały konie, jeden ciężko w uda, drugi w przednią nogę; od powozu oderwany był też jeden wachlarz.

Policmajster w tej chwili wrócił na miejsce wybuchu w otoczeniu strażników i patrolu wojskowego. I tutaj zgromadzonym przedstawił się przerażający widok. W kałuży krwi z rozerwanym brzuszkiem, z którego wypłynęły kiszki, leżała mała dziecina z wielką raną w główce. Jedyną tę ofiarę wybuchu podniosła matka, stróżka domu, by zanieść do szpitala, gdzie maleństwu nie wróżą już życia.

Słabość wybuchu tłomaczy się tem, że bomba odbiła się o stojący obok słup przewodów telegraficznych, tak iż siła jej została zmiejszoną.

Na miejsce zamachu przybył natychmiast gubernator, prokurator, sędzia śledczy i władza wojskowa, lecz pomimo przedsiębranych odrazu ścisłych poszukiwań, sprawcy zamachu nie odkryto. Dom nr. 32 otoczony wojskiem podległ ścisłej rewizyi, przepatrzono szczegółowo i sąsiednie posesye, lecz napróżno; prawie wszystkich na razie aresztowanych, wypuszczono wkrótce na wolność.

* * *

Cały skutek zamachu — rozszarpanie niewinnej dzieciny i bezbrzeżna rozpacz jej rodziców.— Załączamy w dzisiejszym numerze portret policmajstra Radomia Sergiusza Gorskij'ego.

Zachód państwa „wschodzącego poranku“.

Państwo „wschodzącego poranku“ doczekało się swego zachodu. Po czterech tysiącach lat, za panującej przez lat przeszło 600 dynastyi, za króla Yi-Heng, dzierżącego berło lat 44 pochłonęła ten poranek, Koreę — noc, Japonia. W Seulu, stolicy państwa, król podpisał swą abdykacyę na rzecz syna, a najkompletniejsze rządy objęła Japonia. Straszne rzeczy działy się tam, zanim hr. Ito, minister japoński, wymusił tę abdykacyę. Gdy na początku wojny rosyjsko-japońskiej, Japonia rozciągnęła protektorat nad Koreą, hr. Ito zamknął w pałacu wszystkich ministrów koreańskich i zmusił ich do przyjęcia tej opieki i wówczas prezes ministrów koreańskich popełnił harakiri, przecinając sobie brzuch; nie mógł bowiem ścierpieć obcych rządów w swej ojczyźnie. Dzisiaj, przed kilku dniami, gdy deputacya koreańska nie mogła nic wyjednać dla siebie na konferencyi pokojowej w Hadze, jeden z delegatów znowu w ten sam sposób pozbawił się życia. Lecz Japonia, nie wzruszona tymi objawami patryotyzmu, zmusiła wprost króla Korei do abdykacyi. Hr. Ito przez pięć godzin siedział w pałacu królewskim, wymuszając tę abdykacyę i rano mieszkańcy stolicy dowiedzieli się o dokonanym gwałcie z rozstawionych we własnej stolicy wojsk japońskich. To nazywa się tylko protektoratem, który jednakże zabiera rządy absolutnie w swe ręce i nie pozwala nawet na wysłanie posłów do Europy, bo za to właśnie, za wysłanie delegatów do Hagi, jak głosi Japonia, odebrano rządy prawdziwemu monarsze. A czy przypadkiem hr. Ito nie sam umyślnie sporządził takie poselstwo, by mieć gotowy pretekst do zaboru?

Człowiek nie dojrzały umysłowo, moralnie, gdy dojdzie do władzy, daje się unosić pysze, która go właśnie osłabia; czy przypadkiem nie dzieje się to z Japonią, która ufając zbytnio swej sile, wysyła swe wojska z kraju własnego, zagarniając cudze państwo. Lud koreański nie przyjął obojętnie tej zmiany rządów, owszem protestuje energicznie, bo jak nam donoszą depesze, odbywają się tam liczne demonstracye, które rozpędza wojsko japońskie. Niestety Korea słaba, a Japonia silna, gwałt się więc dzieje. Jakże często przyrównać możemy politykę do grożącej brutalnie okutej w stal pięści.

Zobaczymy, jakie będą wieści już obecnie z „zachodzącego poranku“; podobne protektoraty



Zachód państwa »wschodzącego poranku«: Zdetronizowany cesarz koreański Yi-Heng.

mieliśmy i w Europie, przecież Japonia stąd swą kulturę czerpie.

Co więcej — odnosi się ona i jej naczelnicy z wielkiem uznaniem do Niemców, którzy kształcili ich armię. Wszak przed paru dniami jeden z dygnitarzy japońskich, pił toast na cześć armii niemieckiej, jako pierwowzoru armii japońskiej. Jeśli i kultury będą się Japończycy od nich uczyli, jeśli się na nich wzorować będą w polityce ze słabszymi narodami, to los Koreańczyków będzie bardzo smutny.

Biedny król Yi-Heng! Portret jego podajemy dziś Czytelnikom.

Dzielni żandarmi: Żandarmi, którzy wyśledzili i ujęli niebezpieczną bandę morderców Czabak et Comp.
(Do artykułu na stronie 17).



Fot. M. Todt Przemyśl.

Krzysztof Witomski z Mościsk. Ludwik Lewicki z Przemyśla. Władysław Grzebieniowski z Mościsk.

Kronika tygodniowa.

Bardzoby się mylił, ktoby myślał, że fejletonista tygodniowy bez żadnego przygotowania siada przy biurku i pisze, co mu na myśl przyjdzie. Tak mogą robić poeci, a zwłaszcza powieściopisarze, którym wszystko jedno, gdzie ich fantazya zaniesie. Fejletonista jednak musi czerpać temat do swoich kronik z dni ostatnich, z faktów, którymi w danej chwili interesuje się opinia publiczna, ze spostrzeżeń, które mu przynosi chwila bieżąca. Więc siada do pisania, mając przed sobą cały „spis potraw“, które ma podać Czytelnikom w sosie, przez siebie zaprawionym. Ten spis potraw, czyli mówiąc bez przenośni, te notatki—są często bardzo skąpe, często zaś bardzo obfite. W pierwszym wypadku fejletonista poci się, chcąc bicz z piasku ukręcić, w drugim razie też się poci, chcąc cały materyał zużytkować. Ale to mu się rzadko udaje i powstają stąd notatkowe zaległości. Czasem część tych zaległych „kawałków“ zdoła przemycić do kronik najbliższych, czasem jednak są one zbyt spóźnione i musi je skazać na zagładę. Wskutek tego wiele cennych uwag kronikarza (uwagi fejletonistów zawsze są cenne, przynajmniej w ich rozumieniu), przepada całkiem dla teraźniejszości i potomności.

Aby temu zapobiedz, postanowiłem z zaległemi memi notatami postąpić sumarycznie, czyli załatwić się z niemi krótko w dzisiejszym fejletonie. W tym celu biorę notatnik i przebiegnę go krokiem przyspieszonym.

Rusini dają żyć Starzyńskiemu. Tak brzmi notata, a oto jej krótkie objaśnienie: Wiadomo, że szanowni posłowie ruscy zrobili burdę podczas wyboru dra Starzyńskiego na wiceprezydenta Izby poselskiej i zapowiedzieli, że nie dopuszczą go do przewodniczenia. Otóż delegacya polska przeprowadziła z nimi układy, na mocy których odstąpili od swych pięknych zamiarów. Za jaką cenę? nie wiadomo. Pytanie jednak, czy warto było paktować, czy warto było za co płacić? Trudno pojąć, coby to nam szkodziło, gdyby Rusini wciąż się kompromitowali? A niech krzyczą, niech wrzeszczą, niech się zachowują jak w tingl-tanglu, niech manifestują swą „kulturę“. Wątpić należy, czyby im to wyszło na zdrowie. Sam fakt układów dowodzi, że się z ich burdami liczymy, że im za ich zawieszenie coś w zamian przyrzekamy. To ich naturalnie tylko zachęci do burd dalszych przy innej sposobności, aby znów coś wytargować.

Markow kwiaty, Korol jaja. Notata ta odnosi się do wiecu starorusinów we Lwowie. Tam Markowa za przemawianie w języku rosyjskim, za negowanie narodowości ruskiej, małoruskiej, czy ukraińskiej (bo nasi Rusini nie mogą się zdecydować, do której z nich należą), obrzucono kwiatami a pana Korola za „zdradę“ rosyjskiego narodu powitano zgniłemi jajami. Ale nie na tem był koniec. Pisma ruskie donoszą, że do posła ks. Dawydiaka zastosowano „nastojaszczoje russkoje mordobitie“ a syna jego do krwi pobito. Księża staroruscy przynieśli ze sobą na wiec „charoszyja dubczaki“ (tęgie dębiny), aby zdrajcom policzyć kości... Pp. Kuryłowicz i Dobrzański (czy Dobrjańskij, bo i ten nie wie, jak się nazywa) drapnęli tylnemi drzwiami z pola bitwy. Wogóle siniaków i poszczoczyn (dosłownie: bicia po szczękach) było „bohato“ (obficie). Ten rodzaj uświadamiania narodowego przynosi zaszczyt wynalazcom. Szkoda, że nie było fotografa, aby uwiecznił te sceny patryotyczno-rodzajowe dla przekazania ich potomności i... Björnsonowi.

Mahler — Niemcy. Z notaty tej płynie dowód, że niesłusznie oskarżamy Niemców o brak sympatyj dla naszej narodowości. Ordynacya wyborcza zapewniła w okręgu trembowelskim wybór Polaka, jako przedstawiciela mniejszości narodowej, tymczasem Rusini przy wyborach ściślejszych głosowali na syonistę Mahlera. Wybór jego nieco nas zirytował, ale Niemców oburzył. Myśmy pokiwali palcem w bucie, a studenci niemieckiego uniwersytetu w Pradze wzięli się do Mahlera na seryo. Szczegóły znane są Czytelnikom „Now. Illustr.“ z artykułu pod tyt.: „Kłopoty syońskiego proroka“, więc ich nie powtarzam. Nie mogę jednak pominąć „duchowego obroku“. Są u nas ludzie, zbzikowani, którzy łzy leją z rozpaczy nad naszym... szowinizmem. Tak nazywają szczery, nieukrywany, głośno objawiany patryotyzm, bo szowinizm, to u nas istna „niebylica“. Gdyby istniał, to przecież spotkałaby jaka taka „nieprzyjemność“ tych warchołów lub wrogów polskości — co zdobyli sobie wśród nas mandaty. Tymczasem była i jest cisza, nie ma ani jaj zgniłych, ani „nastojaszczoho mordobitia“. Zamiauczy czasem cicho jaki dziennikarz, warknie na uboczu ktoś gwałtowniejszego temperamentu — i na tem koniec. A młodzież niemiecka wścieka się ze złości, że wybrano syonistę nie wśród nich, lecz... w Galicyi. Z awanturami młodzieży zaś sympatyzuje senat akademicki. Gdzie u nas o czemś podobnem myślećby można? Gdzie u nas jakiś żyd docent spotkałby się z podobnemi „owacyami“ za to, że go jako syonistę wybrano posłem w Czechach, Styryi, czy na Bukowinie? Więc polskimi szowinistami są chyba... studenci niemieccy.

Markow — Czesi. Za to Czesi są znowu większymi Rosyanami, niż sami Rosyanie. Boć z wyjątkiem „istinno-russkich“ wszyscy Rosyanie uznają odrębność narodu ruskiego czyli małoruskiego, a Czesi z okazyi rosyjskiej mowy Markowa, mieszkańców wschodniej części Galicyi uważają za Rosyan. Ha! „uważać“ każdemu wolno. Ja na przykład sądzę, że mieszkańcy Czech, mówiący jakimś słowiańskiem, podobnem do dawnego czeskiego języka narzeczem, są Prusakami, bo choć różnią się od nich językiem, to duchem i charakterem są ich rodzonymi braćmi. Mają tę samą chęć wynaradawiania, równie są bezwzględni, równie ideałem ich *Drang nach Osten.* Są to *pur sang* hakatyści. Zresztą czy o jakich Czechach słyszał kto przed stu laty? Jeszcze do lat 50 — 60 każdy uczony Czech pisał po niemiecku. Palacky swoje dzieje Czech wydał naprzód w języku niemieckim. Skąd więc wzięli się jacyś Czesi? Czy mi tak sądzić nie wolno?

Cztery przymiotniki we Lwowie. Pan Lilien, radny miasta Lwowa, uznał, że kiedy obniżył się poziom inteligencyi w Radzie państwa, a zwłaszcza wśród polskiej delegacyi, nie wypada, aby Rada miejska lwowska imponowała inteligencyą (czem, nawiasem mówiąc, i tak nie bardzo imponuje). Wskutek tego postawił p. Lilien wniosek czteroprzymiotnikowych wyborów do Rady lwowskiej. I słusznie. Jeżeli nawą państwa ze strony polskiej delegacyi kieruje 30 chłopów, kilku żydów, kilku socyalistów, nieco konserwatystów i trochę nikłych demokratów, dlaczego sprawami Lwowa nie ma kierować 20 żydów, 50 łyków, trochę socyalistów i garstka skazanej na polityczne wymarcie inteligencyi. Już ze względu na samego p. prezydenta Ciuchcińskiego, który nie może sobie dać rady z komarami, taki skład Rady więcej byłby „do maści“. W Krakowie projekt tego rodzaju spotkałby się prawdopodobnie z opozycyą, choć niedawno słyszeliśmy, że w s z y s c y r a d c y są czteroprzymiotnikowcami. Ale to było przed wyborami!...

Znany w Krakowie lekarz Jordan. Przed kilku dniami grono lekarzy poznańskich, jadących przez Kraków na zjazd lekarzy do Lwowa, złożyło wieniec na grobie ś. p. dr. Jordana. Zdziwiło mnie to mocno, skąd Poznańczycy wiedzą o jakimś Jordanie, kiedy wiadomość o nim nie doszła jeszcze do Warszawy. Najpoczytniejszy organ warszawski, wspominając o treści ostatniego zeszytu „Przeglądu Polskiego“, pisze wyraźnie, że znajduje się w tym zeszycie wspomnienie hr. Stanisława Tarnowskiego „o znanym w Krakowie lekarzu Jordanie“. Dowodzi to, że go gdzieindziej, a zwłaszcza w Warszawie, nie znano. Wprawdzie znali go Niemcy, bo hołd jego zasługom na swym zjeździe hygienicznym składali, ale kto wie, czy Jordan nie był zakapturzonym hakatystą. Kto wie — powtarzam — bo chwalą go Niemcy, a nie chce znać Warszawa. Tylko ten wieniec srebrny od Wielkopolan, co Niemców przecie nie kochają, jakoś nie potwierdza tego przypuszczenia. Może z czasem i najpoczytniejsze pismo w Warszawie dowie się, że Jordan nie był jedynie „lekarzem znanym w Krakowie“.

Aehrenthal i Tittoni. Zjazd tych kierowników polityki austryackiej i włoskiej wywołał w dziennikarstwie liczne komentarze. O czem ci panowie mówili, nie wie dobrze ani „Czas“, ani „Nowa Reforma“ (kierownicy polityki krakowskiej), skądże więc ma wiedzieć fejletonista „Nowości?“ Powtarza więc za innymi, że p. Aehrenthala przyjęto w Desio ***mit Pauken und Trompeten*** i że ten następca Andrassych i Gołuchowskich pragnie wciągnąć do trójprzymierza Rosyę. Wyobrażam sobie, jakbyśmy ślicznie wyglądali, gdyby myśl p. Aerenthala zamieniła się w ciało. Nie chcąc jednak smucić Czytelników opowiadaniem tego, co widzi moja wyobraźnia, przechodzę do weselszej notatki.

Grand-Prix w Louvain. Jeden z moich znajomych ma pieniędzy więcej niż potrzeba, ale za to mu czego innego trochę brakuje. A czego, to się państwo domyślicie, kiedy wejdziecie do jego gabinetu i spojrzycie na ścianę nad biurkiem, zawieszoną rozmaitymi dyplomami. Oto dyplom na złoty medal, otrzymany za wyroby cukiernicze na wystawie gastronomicznej w Londynie, oto dyplom na medal srebrny wystawy krawieckiej w Paryżu, oto *Grand - Prix* wystawy fotograficznej w Brukselli itd. itd. Tymczasem mój znajomy nie jest ani cukiernikiem, ani krawcem, ani fotografem. „Skąd pan do tego przyszedłeś?“ zapytałem. „W bardzo prosty sposób — odpowiedział. — Co roku włóczą się różni ajenci nie istniejących wystaw i namawiają naszych przemysłowców, aby wzięli w nich udział, szepcąc na ucho, że za taką a taką kwotę obowiązują się wyrobić im medal złoty, srebrny, lub dyplom honorowy. Naturalnie, znajdzie się zawsze naiwny lub blagier, co z tego chce skorzystać i stąd od czasu do czasu czytasz pan, że taki a taki otrzymał medal na wystawie, o której nikt nie słyszał. A ponieważ z takimi ajentami zdarza mi się spotykać, więc pomyślałem sobie: dlaczego ja nie mam mieć dyplomów i medalów? Za ten (wskazał na ścianę) zapłaciłem 300 franków, za ten 500. A może pan chcesz być premiowanym literatem? — mogę się o to postarać. Obecnie w Barcelonie ogłoszono konkurs na najlepszy poemat w jakimkolwiek języku — daj pan 500 fr., a zostaniesz laureatem, za 1000 zaś franków otrzymasz gwiazdę nieistniejącego orderu Cerwantesa“.

Podziękowałem ślicznie — i odtąd podejrzliwie spoglądam na różne egzotyczne medale i ordery. Dlatego też wiadomość, że pewien tygodnik otrzymał *Grand-Prix* w Louvain nie pogłaskała mojej dumy narodowej. Bo żeby to jeszcze w Paryżu, Londynie, ale - w Louvain!

Béranger. Francya obchodziła 50-tą rocznicę zgonu swego wielkiego piosenkarza. Z tego powodu w pismach naszych pojawiło się sporo artykułów o Bérangerze. Ale dlaczego nikt nie wspomniał, że ten poeta gorąco ukochał naszą sprawę i dał temu wyraz w swych piosenkach? Dlaczego nikt nie zaznaczył, że go świetnie tłómaczyli Syrokomla, Rodoć, Kozłowski i inni? Oto dlatego, że nasi „biografowie“ Bérangera wiedzą o nim tyle, ile wyczytali w przygodnych artykułach pism niemieckich i francuskich.

Kończę przegląd mojego notatnika wzmianką, że p. Gabryel K. w Rozsahegy zawiadowił mnie kartką korespondencyjną, iż bilet wolnej jazdy nie nazywa się po węgiersku Basamteremtete-Bileton, (jak przypuszczałem w jednej z poprzednich kronik), lecz: Szâbadjegy. Za to uzupełnienie mojej znajomości języka węgierskiego składam p. G. K. szczere podziękowanie.

Przed ołtarzem.

Z wielkiem sklepieniem wspartem o kolumny
Stoi olbrzymi kościół: gotyk dumny.
A nigdy słońca promieni nie wpuści
W te zimne wnętrza kamiennych czeluści
I tylko mnichy o wybladłej twarzy,
Pełnią swą służbę u świętych ołtarzy.
Dziś uroczystość rocznego odpustu,
Zmazania grzechów i kary dni dwustu,
Dziś kościół w kwiaty i światła przybrany,
Brzmią święte pienia i grają organy,
Chylą się czoła i wznoszą się dłonie,
Tam, kędy Chrystus w cierniowej koronie....
U sklepień nawy, wysoko, w pomroce
Jakiś zbłąkany ptaszek się trzepoce
I pierś kaleczy i rozbija skrzydła
Oddech tamuje mdłą wonią kadzidła.
Huczą organy, drży nawa kościoła,
— „Zmiłuj się, zmiłuj!“ — pobożny lud woła...
Tysiące świateł błyska przez kadzidła —
A ptak zbłąkany opuszcza swe skrzydła
I przed ołtarzem rozbija swe skronie
Tam,-kędy Chrystus w cierniowej koronie....

K. K.



X. Zjazd lekarzy i przyrodników polskich we Lwowie.

W prastarej stolicy Czerwonej Rusi, we Lwowie, w tym grodzie, który przez szereg wieków był nietylko puklerzem Rzeczypospolitej ale i siedliskiem nauk i umiejętności, który wydał tylu sławnych lekarzy — dość wspomnieć imiona takich mężów, jak Sykst lub Kampian — obradował przez



Fot. nadw. N. Lissa, Lwów.
X. Zjazd lekarzy i przyrodników polskich we Lwowie: Dyrektor wystawy X. Zjazdu i przyroduików i lekarzy polskich, dr. Kalikst Krzyżauowski.

cały prawie tydzień Zjazd polskich przyrodników i lekarzy. Dziesiąty z rzędu zjazd ten zgromadził w murach Lwowa pionierów polskiej nauki i wiedzy nietylko z Galicyi, ale także z obu innych dzielnic Polski, a dalej z Rosyi, Niemiec, Francyi a nawet z Ameryki. Zjazd ten był więc prawdziwem świętem polskiej wiedzy, był świetnym, potężnym dowodem naszej kultury i naszej żywotności.

I z tego powodu cały naród polski patrzy z dumą a oraz z otuchą na sejm uczonych swych synów. Pozbawieni praw politycznych, wypierani przez wrogów i gnębieni nawet w dziedzinie życia duchowego i umysłowego, musimy ciężką i wytężającą toczyć walkę w obronie naszych świetnych tradycyi, w obronie naszego stanowiska w rzędzie narodów cywilizowanych, które było zawsze jednem z pierwszych, w obronie wreszcie naszej indywidualności.

Gorącem tedy i otwartem sercem witamy X-ty zjazd przyrodników i lekarzy polskich, witamy jego uczestników, drogich nam gości.

Staraniem komitetu, zawiązanego celem zorganizowania zjazdu, na którego czele stoi niestrudzony lekarz prof. dr. Władysław Bylicki oraz jego gorliwy współpracownik jako sekretarz, docent uniwersytetu dr. Szulisławski, zjazd przybrał olbrzymie wprost rozmiary, tak że obrady odbywały się w 27 sekcyach.

Zjazd rozpoczął się w niedzielę wieczór zebraniem koleżeńskiem w salach hotelu George'a; następnego dnia zaś po mszy św. w kościele archi-

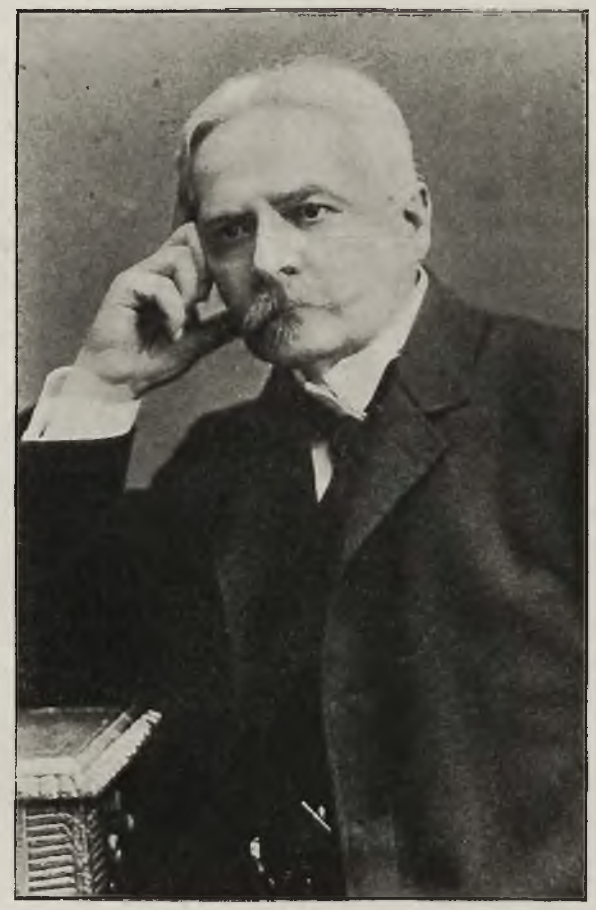


X. Zjazd lekarzy i przyrodników polskich we Lwowie
Dr. August Kwaśnicki z Krakowa, rzeczywisty prezes Zjazdu.

katedralnym, nastąpiło otwarcie zjazdu na uroczystem zebraniu w sali teatru miejskiego. Przybyli tam: namiestnik kraju hr. Potocki, marszałek hr. Badeni, generalicya, prezydyum i członkowie Rady miasta, rektorowie wszystkich lwowskich zakładów naukowych, dygnitarze wszelkich dykasteryj urzędniczych, a wreszcie z górą 1000 uczestników zjazdu.

Zebranie otworzył prezes komitetu dr. Bylicki, poczem nastąpił wybór prezydyum, w skład którego weszli: dr. August Kwaśnicki z Krakowa jako prezes, dr. Panieński z Poznania jako zastępca, a dr. Kwiatkiewicz ze Lwowa i dr. Tur z Warszawy jako sekretarze. Nadto powołano cały szereg wybitnych uczonych polskich, jako honorowych prezesów. W dalszym ciągu przemawiali: prezydent miasta Ciuchciński, protomedyk dr. Merunowicz, członek Wydziału krajowego p. Onyszkiewicz, delegat Akademii Umiejętności w Krakowie, dr. Kostanecki, rektorowie: Gryziecki, Syroczyński, Szpilman i Mikułowski - Pomorski, delegat ruskiego tow. naukow. im. Szewczenki, dr. Ozarkiewicz, po rusku, wreszcie im. tow. Kopernika dr. Smoluchowski, a im. tow. lekarzy lwowskich prof. dr. A. Gluziński.

Zaraz po uroczystem otwarciu rozpoczęły się



X. Zjazd lekarzy i przyrodników polskich we Lwowie:
Dr. Bylicki, prezes komitetu Zjazdu.

wykłady i odczyty, a następnie obrady w sekcyach.

Drugiego dnia Zjazdu, we wtorek przed południem, uczczono pamięć jednego z najwybitniejszych przyrodników polskich, śp. Marcelego Nenckiego. Odbyło się mianowicie odsłonięcie pomnika tego uczonego, dzieła dłuta artysty-rzeźbiarza dra Kunzeka; pomnik ten wmurowany został w ścianę gmachu instytutu chemicznego.

Popiersie śp. Nenckiego opiera się na marmu-



Fot. M. Münz, Lwów.
X. Zjad lekarzy i przyrodników polskich we Lwowie: Grono uczestników zjazdu po odsłonięciu pomnika śp. Nenckiego, przed gmachem chemii. W środku rektor uniw. lwowskiego prof. dr. Gryziecki.

rowym cokole, na którym złotemi literami wyryty jest następujący napis:

MARCELEMU NENCKIEMU
X. ZJAZD
LEKARZY i PRZYRODNIKÓW
POLSKICH WE LWOWIE
MCMVII.

* * *



X. Zjazd lekarzy i przyrodników polskich we Lwowie:
Dr. Szulisławski, sekretarz komitetu Zjazdu.

W numerze dzisiejszym zamieszczamy portrety prezydum komitetu Zjazdu: dra Bylickiego i dra Szulisławskiego, dyrektora wystawy hygienicznej dra Krzyżanowskiego, prezesa Zjazdu dra Kwaśnickiego, oraz zdjęcie fotograficzne pomnika ś. p. Nenckiego i grupę uczestników Zjazdu, zebranych po uroczystości odsłonięcia przed gmachem instytutu chemii lekarskiej.

Zamach na prezydenta francuskiego.

W ostatnich latach daje się spostrzegać w społeczeństwach jakieś chorobliwe pragnienie rozgłosu, chęć zwrócenia na siebie uwagi za wszelką cenę, choćby kosztem wolności. Najczęściej taki objaw występuje we Francyi, gdzie ludzie, gdy im się dzieje niesprawiedliwość, chwytają się najdziwaczniejszych, wprost szalonych, pomysłów, byle tylko stać się głośnym i módz przez to światu całemu wyjawić swe krzywdy.

W zeszłym tygodniu wspominaliśmy o pokrajaniu wielkiego obrazu w Louwrze w Paryżu, dokonanem z takiej pobudki, poprzednio jakaś wdowa, nie mogąc otrzymać po mężu emerytury, strzeliła do ministra - by sprawę swą wytoczyć w ten sposób przed sąd i dobić się swej należytości i wiele innych takich faktów mogą przytoczyć kroniki sądowe. Dzisiaj mamy do czynienia z nowym wypadkiem, znamionującym już jednak jakieś umysłowe zboczenie.

Ofiarą tego ostatniego szaleństwa miał się stać prezydent francuski Fallières. 14 lipca Francya obchodzi zazwyczaj bardzo uroczyście swe święto narodowe, rocznicę zburzenia Bastylli. Odbywa się wtedy wielka rewja wojsk, na którą udaje się zawsze prezydent w otoczeniu wszystkich ministrów, całej generalicyi i ambasadorów obcych mocarstw. Tego roku, gdy prezydent wracał już z tych uroczystości, dano do niego dwa strzały z rewolweru, które jednak nie dosięgły go. Schwytany natychmiast sprawca zamachu, nie stawiał najmniejszego oporu, dał się zaprowadzić do prefektury, mówiąc, iż tam tylko złoży zeznania. Jakoż oświadczył, że nie miał najmniejszego zamiaru ani zabijać, ani ranić Falliéresa, chciał tylko zwrócić na siebie uwagę jako na ofiarę niesprawiedliwości.

O prawdzie jego zeznań świadczy i rewolwer tak mały, iż nie mógł nikogo zranić, zwłaszcza z odległości stu kroków, które go oddzielały od prezydenta. Bohatera tego, Leona Maryę Maillé, eksmarynarza, oddano pod obserwacyę lekarską gdzie natychmiast uznano go za niezupełnie zdrowego na umyśle.

Fotografia nasza przedstawia właśnie prezydenta Francyi — Falliéres'a, podczas przeglądu wojsk, w pół godziny przed dokonanym na niego zamachem.

Koń pasażerem tramwajowym.

Jednem z przykazań etyki ludzkiej jest i miłosierdzie nad zwierzętami, ochrona bydlęcia przed katowaniem.

Rozszerzające się po świecie całym towarzystwa opieki nad zwierzętami, w pierwszej mierze zwróciły swą uwagę na konie, które, jako najpożyteczniejsze, do najcięższych też robót, a nie rzadko ponad swe siły, bywają używane. Przysłowiowo smutną jest dola konia tramwajowego, który przez kilkanaście godzin z rzędu musi biegnąć jednakowym truchtem, ciągnąc za sobą wóz pełny ludzi.

Ameryka, ten kraj wszelkiego niepodobieństwa, tak z litości, jak i z dobrze zrozumianego własnego interesu, uczyniła konia w pewnym wypadku i pasażerem tramwajowym.

W stanie Colorado, z głównego miasta Denver, przeprowadzono linię tramwajową na przedmieście Chevrelyn, położone w okolicy górzystej, gdzie



Fot. M. Münz Lwów.
X. Zjazd lekarzy i przyrodników polskich we Lwowie
Pomnik ś. p. Marcelego Nenckiego.

z powodu niedokładności terenu nie można było zbudować ani kolejki elektrycznej, ani też sznurowej. Z konieczności więc posługują się tam koniem, który musi ciężko pracować, ciągnąc wóz pod górę, za to z powrotem używa przyjemności, jako bezpłatny pasażer tramwajowy.

Załączona fotografia przedstawia właśnie zsuwający się z góry własnym ciężarem wagon z pasażerami, między którymi znajduje się na tylnej platwormie, ogrodzonej żelazną kratą i koń w uprzęży.

Melancholijnie spogląda na mijaną drogę — którą jeszcze nieraz przebywać będzie, nie zawsze jednak tak wygodnie.



Zamach na prezydenta francuskiego: Prezydent Fallieres (X), na pół godziny przed zamachem, w czasie rewii wojsk.

Dziwo przyrody.

W panoramach, panoptikach i innych tego rodzaju menażeryach, włóczących się po zapadłych kątach naszego kraju w brudnym wagonie, o okienkach przysłoniętych tradycyjnie brudnemi i tradycyjnie czerwonemi „firankami“, spotkać można nieraz jako „atrakcye“ ich widowisk „olbrzymie damy“, mierzące od stóp do głowy 2·17 m., a od głowy do stóp 2·37 m., „wielkoludów“ opasłych, niesłychanie tłustych i inne w tym guście dziwadła. Pokazują się tam za „szóstaka“.

Nie są to więc nadzwyczajne rzadkości. Olbrzym jednak, jakiego wydała Australia, jest istnem dziwem przyrody. Podobiznę jego zamieszczamy w dzisiejszym numerze naszego pisma. Uwieczniony tu „chłopaczek“, choć liczy dopiero jedenaście wiosen, mierzy na wysokość 1.57 m., obwód jego piersi wynosi 1·65 m., obwód łydek 75 cm., waży zaś zaledwie... 287 funtów. Bagatela! Kształty jego występują w całej okazałości, zwłaszcza w po-

równaniu z krewniakiem i rówieśnikiem, który uwidoczniony jest na tem samem zdjęciu, a który wygląda przy swym kuzynku, jak mały chrabąszcz.

Łatwo można sobie wyobrazić, ile kosztuje wyżywienie tej „pociechy“ rodzicielskiej. Bo nietylko



Dziwo przyrody: 11-letni chłopiec-olbrzym, ważący 287 funtów.

wzrost, nadzwyczajnie na ten wiek wysoki, nietylko grubość i szerokość kości znamionują tego cudaka, ale i otyłość, świadcząca z jednej strony o braku trosk i kłopotów, a przynajmniej obojętności na nie, z drugiej zaś o dobrym apetycie.

Czy siły umysłowe i duchowe australskiego olbrzyma stoją w jakiej proporcyi do jego kształtów i sił fizycznych, nie wiadomo. Sądząc jednak z wyrazu twarzy, z oczu dość bezmyślnych, należy przypuszczać, że mądrość w jego mózgownicy nie znalazła a może i nie szukała miejsca.

Idzie to nawet zwykle w parze, że fizycznie nienormalnie — w jakimkolwiekbądź kierunku — rozwinięte osobniki, są zwykle i umysłowo niedołężne. Odnosi się to zwłaszcza do olbrzymów. Częściej już można znaleść w „małem ciele — wielki duch“.

Natomiast najwybitniejsi ludzie, umysły najtęższe i najzdolniejsze, odznaczały się zawsze normalną i zupełnie proporcyonalną budową ciała. Dlatego też na pomnikach i portretach zasłużonych mężów, genialnych poetów, wielkich uczonych, uderza piękność i regularność rysów ich twarzy i wspaniała proporcya i harmonia ich kształtów.

Olbrzymi Australczyk zaś chyba nie odznacza się ani pięknością rysów, ani harmonią i proporcyą kształtów.

Władysław Floryański

Z dawnym, a jednym z najlepszych znajomych będzie miała sposobność publiczność krakowska przywitać się w sobotę na scenie teatru miejskiego. Oto w starej ale pięknej, melodyjnej operze Halevy'ego „Żydówce“, wystąpi jako Eleazar znakomity nasz śpiewak, Władysław Floryański.

Dodać zaś trzeba, że partya Eleazara jest popisową w repertuarze tego dzielnego artysty. Głos jego, zawsze jeszcze świetny i pełen dźwięku, nadaje się doskonale do roli tego mściwego starca, do oddania jego bólu, dławionego goryczą i żalem. Zalety głosu p. Floryańskiego i jego wspaniała gra występują zwłaszcza w wielkiej aryi, tak znanej a tak zawsze wielkie wywierającej wrażenie — zaczynającej się od słów: „Rachelo, kiedy Pan...“

Obok Eleazara ma p. Floryański w swoim repertuarze cały szereg wspaniałych kreacyj, zwłaszcza o podkładzie bohatersko-dramatycznym.

Wielkim jest też artysta ten jako wykonawca pieśni. Złożył on dowody tego na licznych koncertach, interpretując niezrównanie nietylko najznakomitszych pieśniarzy obcych, ale i naszych, jak Moniuszko, Żeleński, Gall, Niewiadomski. Znakomita dykcya, wyrazista deklamacya, doskonałe zrozumienie śpiewanego utworu, oto co obok pięknego głosu cechuje śpiew p. Floryańskiego.

Świeże tryumfy zebrał wielki nasz śpiewak na drugiej półkuli ziemskiej w Ameryce, gdzie urządził cykl koncertów. Powodzeniem cieszył się tam nadzwyczajnem. Zwłaszcza w zachwyt wprowadził rodaków naszych za Oceanem, gdy im pięknym swym, rzewnym głosem zaśpiewał szereg naszych, swojskich piosnek, naszych krakowiaków, takich prostych, a tak do serca przemawiających. Piosenkami temi do łez ich poruszył.

Dla tych, którzy przez czas dłuższy bawili na obczyźnie, zdala od ziemi rodzinnej, nie słysząc mowy ojczystej, nie będzie to dziwnem. Oni wiedzą, co znaczy tęsknota za swoimi, oni rozumieją dobrze, jakie uczucia budzą się wówczas w duszy na dźwięk mowy ojczystej, na odgłos piosnki, którą się za chłopięcych jeszcze słyszało lat. A gdy się doda jeszcze, że piosnki te śpiewał tak znakomity artysta, wlewając w nie całą moc uczucia i rzewności, to wówczas wzruszenie słuchaczów polskich gromadzących się tłumnie na koncertach p. Floryańskiego w Chicago, Buffalo itd., jest zupełnie zrozumiałe. Zrozumiałem też jest jego nadzwyczajne powodzenie i tryumfy, jakie mu w tem *tournée* towarzyszyły.



Władysław Floryański.

* * *

Wiadomość o występach p. Floryańskiego na scenie krakowskiej witamy z szczerem zadowoleniem.

Dzielni żandarmi.

(Do ilustracyi na stronie 13).

W ostatniej chwili udało się nam dostać fotografię trzech dzielnych żandarmów, którzy wyśledzili i ujęli szajkę rozbójników z pod Gródka Jagiellońskiego, o której piszemy na innem miejscu.

Zadanie, jakie ci stróże bezpieczeństwa publicznego mieli do spełnienia, było zaiste bardzo ciężkie. Bandyci owi bowiem urządzali swe wyprawy bardzo sprytnie, i wnet po dokonaniu zbrodni opuszczali odnośną miejscowość i okolicę.

Dużo trzeba było energii, dużo pracy i poświęcenia, aby po nikłych, gubiących się nieustannie śladach i poszlakach dojść do celu.

To też dzielni ci ludzie zasługują na pełne uznanie a przedewszystkiem na wdzięczność ze strony zagrożonej przez bandytów i rozbójników ludności.

Dwaj z tych żandarmów, pp. Kszysztof Witomski i Władysław Grzebieniowski, są komendantami posterunku w Mościskach, trzeci zaś, Ludwik Lewicki, komendantem posterunku w Przemyślu. Ten ostatni już kilkakrotnie odznaczył sie energią w ściganiu zbrodniarzy i uzyskał za to odpowiednie odznaczenia.



Koń pasażerem tramwajowym: Wóz tramwajowy, wiozący konia jako pasażera.

Adam Ludwig.

Dumnym i szczęśliwym zarazem nazwać się może artysta polski, który w samych początkach swej karyery, rozpoczętej w kraju, bez „marki zagranicznej“, spotyka się z jednogłośnem, powszechnem uznaniem, który w pierwszych latach swej pracy na scenie teatralnej — zwanym jest chlubą polskiej opery. Musi on być istotnie artystą z Bożej łaski, musi łączyć w sobie zalety pierwszorzędne, posiadać nietylko głos niepospolitej piękności, ale i inteligencyę wybitną. Takim wybrańcem fortuny, faworytem krytyki i ulubieńcem publiczności muzykalnej, jest sympatyczny baryton operowego ansamblu lwowskiego, p. Adam Ludwig.

Nie często zdarza się spotkać indywidualność tak na wskróś artystyczną, duszę tak pełną zapału i szczerej miłości dla sztuki, jak Ludwig. Poświęciwszy się przed laty siedmiu scenie polskiej, służy jej odtąd wiernie i niezmordowanie swym głosem wspaniałym i swą wysoką inteligencyą. I choć wie, że dola polskiego śpiewaka jest często bardzo przykra, choć wie, iż przy swoich nadzwyczajnych warunkach ma otwarte wszystkie sceny pierwszorzędnych, europejskich teatrów, przecież woli pracować wśród swoich i dla swoich.

Na brak uznania p. Ludwig zresztą skarzyć się nie może. Każdy jego występ, każdą kreacyę przyjmowano zawsze we Lwowie i Krakowie nad wyraz ciepło, oddając należne pochwały zarówno prześlicznemu głosowi jego, jak pełnej wyrazu i zrozumienia grze. Ale i nie zdarzyło się w kilkuletniej karyerze artystycznej Ludwiga, by którą ze swoich partyj, choćby nawet najmniejszą, traktował lekko, by jej nie opracował z całą sumiennością, lub by ją „położył“. A repertuar jego jest bardzo obfity i bardzo wielostronny.

Tegoroczny sezon operowy lwowski przysporzył młodemu śpiewakowi kilka bardzo wybitnych partyj, a z niemi także sporo wawrzynu i bynajmniej nie zdawkowych pochwał. Sezon ten wykazał, że p. Ludwig jest śpiewakiem w wielkim stylu, barytonem prawdziwie operowym, na lwowskiej scenie jedynym i bez konkurencyi. Jego głos potężny, pełny, o dźwięku metalicznym i barwie szlachetnej, doskonale osadzony i prawidłowo podawany, nieskazitelny pod względem intonacyi, pełen wyrazu i siły, stawia go w rzędzie pierwszych śpiewaków polskich.



Adam Ludwig.

Prócz kilku partyj dawnych, jak Janusza w „Halce“, Silvia w „Pajacach“, Alfia w „Cavalerii“, Amonastra w „Aidzie“, Germonta w „Traviacie“, śpiewał p. Ludwig w ostatnim sezonie cały szereg nowych. Postaci Mathisa w „Żydzie polskim“, Dawida w „Przyjacielu Frycu“, Popiela w „Starej Baśni“ znane są publiczności krakowskiej. Wszystkie opracowane pod względem wokalnym bez zarzutu, plastyczne, pełne życia. Zwłaszcza rola Mathisa, forsowna ogromnie, trudna i odpowiedzialna, dała p. Ludwigowi sposobność do rozwinięcia wszystkich swych cennych zalet.

Drugą popisową kreacyą utalentowanego artysty jest Jan Freudhoff w „Evangelimanie“ Kienzla. Rola to pierwszorzędna, wysoce dramatyczna, a wyzyskał ją pan Ludwig znakomicie i stanął co najmniej na równi z wielkim Bandrowskim, który w operze tej kreował na scenie lwowskiej partyę tytułową.

Osobna wzmianka należy się postaciom Wagnerowskim w interpretacyi p. Ludwiga, tembardziej, że dzięki swemu uposażeniu głosowemu, śpiewak ten jest jakby stworzony na wykonawcę rzeczy Wagnera. P. Ludwik śpiewał Telramunda w „Lohengrinie“, Wolframa w „Tannhäuserze“ i Alberyka w „Zygfrydzie“. W „Lohengrinie“ wybija się p. Ludwig na pierwszy plan, zarówno głosem świetnie wyszkolonym, jak znakomitą dykcyą i wyborną grą. Wolfram jego jest równie doskonałym. Pieśń o miłości i romanzę do gwiazdy w ostatnim akcie, śpiewa ten artysta z wielkiem uczuciem, wkładając w nie dużo wyrazu i poezyi. W trudnej, męczącej postaci Alberyka w „Zygfrydzie“, stanął utalentowany śpiewak także bardzo wysoko i razem z Bandrowskim i Malawskim przyczynił się do powodzenia tego arcydzieła na scenie teatru lwowskiego.

A mimo niezwyczajnych sukcesów, jakie występami swymi zdobywa, mimo iż najpoważniejsi krytycy obsypują go najwyższemi pochwałami, których odbiciem tylko jest niniejsza sylwetka, Ludwig jest zawsze, jak w początkach swej karyery, skromny, nadzwyczaj koleżeński, serdeczny i szczery. I za to tembardziej go wszyscy cenimy i kochamy.

tr.

Z lwowskiego bruku.

(Nie ma kanikuły. — Jesień w lecie. — Historya o pewnej histerycznej pani, jej mężu i jego pannie. — Rzecz o trójkątach i wielobokach małżeńskich. — Schadzka w rynku. — Żona z parasolką. — Smutny koniec. — Morał. — Biuro małżeństw we Lwowie. — Praca fotografa).

Nawet na porządną kanikułę nie może się Lwów zdobyć. Od dwóch tygodni leje się z nieba tyle wody, że całe miasto pływa, a kamienice zapadają się jedna po drugiej. Gdyby deszcze nie ustały do miesiąca, to według obliczenia genialnego inżyniera, Lwów rozpłynie się na nic, wszystkie kamienice rozpadną się w gruzy, a zostanie tylko krajowa Dyrekcya Skarbu, która była, jest i będzie wiecznotrwała.

Przez cały tydzień ubiegły mieliśmy jesień i słotę a jeśli ci, którzy wyjechali w góry, mają taką samą pogodę, to można im życzyć przyjemnej zabawy. Takie powietrze jest doskonałe dla histerycznych pań.

Jedna taka pani (z lepszego towarzystwa lwowskiego) ma męża i dziecko, a mąż młodym będąc i zamożnym przemysłowcem tutejszym, wdał się w mały romans z jakąś dziewicą, swoją drogą bardzo przystojną. Takie rzeczy trafiają się nawet w najporządniejszych familiach, ale od tego żony są żonami, aby im się takie poboczne zajęcia mężowskie nie podobały. Każda żona, choćby nie wiem jak była starą i brzydką, twierdzi — nie bez słuszności — że ona wystarczać powinna mężowi i „nie będziesz miał innych bogów nademnie“. W teoryi takie zasady są bardzo piękne i zdrowe, ale szare życie codzienne, jak nas uczą liczne niestety przykłady, grawituje ku trójkątom małżeńskim — bez względu na to, czy ten trzeci kąt jest bliższym jednej połowy, czy drugiej, czy wreszcie cały trójkąt rozszerza się w czworobok lub nawet w wielobok stosownie do okoliczności, temperamentu i innych czynników.

Tak i w tym wypadku żona nie życzyła sobie, aby mąż krajał serce na dwie nierówne połowy, a większą połowę marnotrawił poza domem i choć cały stosunek trwał dopiero od tygodnia, czy dwóch tygodni, robiła już mężowi gorzkie sceny, nie bez śladów pozostawionych na jego grzesznej skórze. Ale miłość jest ślepa, jak lwowski policyant i ma swoje prawa, także jak lwowski policyant. Wobec czego mąż był głuchy (same kalectwa) na wszelkie perswazye swej silniejszej połowy i tłómaczył jej tylko, że to wszystko „niema sensu“. Ona była tego samego zdania, ale w innem znaczeniu. Jednem słowem nieporozumienie, a potem coraz głośniejsze dysputy, sprzeczki, wyzwiska, krzesła, wałki, nożyce, garnki, lampy, lewatywy, naczynia i wszystko, co nadaje się w sam raz do rzucania w głowę.

Jak długo te małżeńskie zabawy odbywały się wyłącznie w domu — nikogo one nie obchodziły prócz wszystkich sąsiadów, przyjaciół, znajomych i pobożnych chrześcijan. Ale zdarzyło się właśnie w tym tygodniu, że sprawa przeniosła się na ulicę i stała się publiczną, jakby awantura w parlamencie.

Młody mąż właśnie naznaczył sobie schadzkę z uroczą panną po dłuższej pauzie i był na tyle nieostrożnym, że na miejsce dyskretnej schadzki obrał sam rynek. Żona zajęta skupowaniem na rynku rzodkiewki, kartofli i jaj, ani przypuszczała, że za chwilę wypadnie jej być bohaterką głośnej sprawy. Idzie sobie w towarzystwie swojej sługi, obładowanej koszem do domu, a tu staje prawie oko w oko z randewującą parką. Kobieta albo wcale nie myśli, albo przynajmniej niedługo myśli. I tu był jeden z tych wypadków, sam nie wiem który, choć możliwe, że pierwszy.

Wyciągnęła „z pod pachy“ parasolkę, ale taką porządną i grubą i bez przedmowy, bez przeproszenia, bez przedstawienia się obcej pannie (co za niegrzeczność!) zaczęła okładać tę, którą jej mąż tak kochał.

Przepraszam, że przerwę na chwilę, ale chciałem zwrócić się do Szanownych Czytelniczek z zapytaniem: jak może dobrze dziać się w małżeństwie, gdzie żona pozwala sobie tę samą osobę bić, którą mąż kocha? W małżeństwie, gdzie przecież powinny panować jednomyślność i harmonia!

Mężowi spadł z głowy kapelusz i dostał prawie nieumyślnie po twarzy, ale tylko parasolką, co jest mniej niehonorowe. Ale ta biedna panienka wyszła z pojedynku bardzo, ale to bardzo fe! Nawet podobno była pokrwawiona na twarzy a znaków niewidzialnych miała w każdym razie więcej, niż żądała. Zbiegli się oczywiście ludzie, naturalnie przeważnie kobiety. Mąż unikając rozgłosu i sławy wskoczył do tramwaju a panna chciała się oddalić, ale towarzyszyła jej "ta trzecia" z parasolką, jeszcze ciągle ruchliwą i groźną jak rosyjska nahajka. Nie wiedziała, co począć, gdzie się schować, lub umknąć. Więc zemdlała. Teraz dopiero oddaliła się zdradzona żona z pobojowiska, co widząc omdlała panienka, otworzyła oczy i poszła do domu. Stąd morał: Jeśli masz żonę i dziecko, nie naznaczaj sobie schadzek z obcą kobietą — w rynku!...

Zresztą nic ciekawego. Jakiemuś szlachcicowi skradziono w hotelu europejskim z walizki szlachectwo, czy dyplom szlachecki, co niech będzie przestrogą dla naszych szlachciców, aby nigdy ze sobą nie wozili swojego szlachectwa. Inne drobnostki z bruku są bez znaczenia, a najradośniejszym faktem jest mające wkrótce powstać biuro małżeństw we Lwowie, którego zadaniem będzie powiększać liczbę niewolników a pomniejszać liczbę starzejących się panien. Emancypantki z ukosa patrzą na to biuro i już dziś przygotowują generalny atak w celu rozbicia tej tak pożądanej instytucyi humanitarnej.

Nasze panny i młode wdówki, a jest ich u nas bardzo wiele, czekają już na to biuro z biciem serduszka i obiecują sobie po niem bardzo wiele. — U fotografów teraz ruch z tego powodu bardzo ożywiony, a Bahrynowicz-Statkiewicz teraz nic innego nie robi, jak tylko panny i wdówki po dwa tuziny na dzień. Powiada, że aż chudnie z przepracowania — w czem zresztą nie ma nic dziwnego.

Ten sam.

NA WIEŻY.

Powieść na tle życia paryskiego przez

Fortuné du Boisgobey.

Tłómaczył z języka francuskiego K. W.

8 Ciąg dalszy.

— Nietylko go widziałem, ale z nim mówiłem i zaprosiłem go na obiad. Przyrzekł mi, że przyjdzie. Miał zabawną przygodę na wieży Notre-Dame.

Gdyby Malverne nie był się w tej chwili wychylił przez okno, byłby musiał dostrzedz przerażenie na twarzy swej żony.

— Tak, tak, miał ciekawą przygodę — mówił Malverne, wracając od okna.

Pani Odetta opanowała się prędko i zapytała z udaną obojętnością:

— Jakaż to przygoda?

— Jacques opowie ci sam, a to będzie dla niego karą, a dla ciebie jeszcze bardziej interesującą nowiną, gdy o niej z jego ust usłyszysz. Tymczasem tyle ci powiem, że nasz przyjaciel ma.... przyjaciółkę.

— Przyjaciółkę?! - zawołała Odetta zaniepokojona.

— Czemu się tak dziwisz? Jacques jest mężczyzną bardzo pięknym, więc nie dziw, że może łatwo czynić zdobycze w miłości.

— Nie sądziłam, żeby on, tak poważny, tak dystyngowany....

— Kawaler, swobodny. Musimy go ożenić, ażeby zaniechał niebezpiecznych wycieczek na wieżę Notre-Dame.

Pani Odeta była widocznie niezadowolona z tej rozmowy, co nie uszło uwagi męża.

— Tak teraz wyglądasz, jakbyś była o Jacquesa zazdrosną.

— Dowcip bardzo niewłaściwy.

— Wybacz moja droga, to był tylko żart.

— Pan kapitan Saint-Briac — rzekł służący wchodząc do salonu.

— Prosić.

Za chwilę wszedł kapitan.

Malverne wyciągnął ku niemu ręce przyjacielsko, wesoło, Odeta zaś była cokolwiek zmieszaną.

— Przecież nareszcie — mówił sędzia — już zacząłem cię podejrzywać, że i dziś miałeś jakąś przygodę.

Saint-Briac silił się, aby swobodnie odpowiedzieć, ale znać było, że usposobienie ma cokolwiek przygnębione. Nie dziwiło to Malverne'a, tłómaczył sobie bowiem zachowanie przyjaciela tem, że wrażenia przygód i przykrości musiały mu odebrać zwykłą wesołość i swobodę.

Wkrótce podano obiad, więc udano się ze salonu do sali jadalnej, a tu rozmowa toczyła się o rzeczach obojętnych, ze względu na służbę; dopiero, gdy się udano do gabinetu na czarną kawę i cygaro, Malverne ożywił się jeszcze bardziej, żartował, czyniąc ciągłe aluzye do przygody przyjaciela.

— Przez ciebie mój kochany spóźniłem się do domu o dwie godziny. Mogę cię nazwać rabusiem dwóch godzin szczęścia domowego. Musiałem staczać zawziętą walkę z prezydentem sądu i całym prawie senatem, nie mogli bowiem pojąć, jak mogłem uwolnić cię natychmiast, bez żadnego przesłuchania. Starłem się z prokuratorem tak bardzo, że o mało co nie oddałem aktów i nie zażądałem, aby je powierzono innemu sędziemu.

— Istotnie nie wiem, jak cię przeprosić za tyle kłopotów — rzekł Saint-Briac nieśmiało.

— Ej co tam, to wszystko drobnostki. Skończyło się mojem zwycięstwem. Urzędnik policyjny otrzymał naganę, a dzwonnik zostanie jutro oddalony, bo właściwie jego niedbałość była przyczyną wszystkiego złego. No, a teraz, mój Jacques, zabieraj głos i opowiadaj sam Odecie, co ci się wydarzyło.

— Zdaje mi się, że ta cała sprawa zamało jest zajmującą dla pani, że nawet będzie wprost nudną — mówił Saint-Briac, z widocznem zakłopotaniem.

— Proszę, niech pan opowiada — rzekła Odeta, spuszczając oczy.

Saint-Briac milczał.

— A jakiżeś ty uparty — zawołał Malverne.— Skoro się zaciąłeś i sam mówić nie chcesz, to już ja opowiem wszystko. Dowiedzże się, kochana Odeto, że nasz przyjaciel spędził całą dobę w więzieniu i dlatego nie był u nas wczoraj.

— W więzieniu!? — zawołała Odeta z przerażeniem.

— Tak, tak moja droga i byłby tam zapewne do tej chwili, gdyby nie szczęśliwy zbieg okoliczności, że mnie oddano śledztwo w jego sprawie. Wyobraź sobie: posądzono go o zamordowanie kobiety. Widziano go, jak wchodził z jakąś damą na wieżę Notre-Dame, a że właśnie wtedy ktoś strącił jakąś kobietę z wieży, więc posądzono o to naszego przyjaciela. Byłby się mógł łatwo od podejrzeń uwolnić, gdyby był wymienił nazwisko swej towarzyszki, dla stwierdzenia, że się mordu nie dopuścił, ale tego uczynić nie chciał, a nawet i przedemną zachował najściślejszą tajemnicę.

Odeta ożywiła się, na jej twarzy zjawił się wyraz błogiego zadowolenia i dość wesoło odezwała się do kapitana:

— Zawsze z pana ten sam rycerski....

— Bałamut — dodał Malverne, przerywając żonie.

— Pozwoli pani, że nie przyjmę żadnych pochwał za spełnienie obowiązku. Gdybym miał nawet i życie stracić, nie odsłoniłbym tajemnicy, bo to obowiązkiem mojej czci i mojej miłości dla tej uwielbianej, która mi zaufała.

— Bardzo szlachetnie — rzekła Odeta.

— A tak, szlachetnie zapewne, ale bądź cobądź niebezpiecznie. Żaden sędzia nie byłby Jacquesa uwolnił, nie przekonawszy się poprzednio, że ta erotyczna dama, której z nim na wieży gruchać się zachciało, zupełnie zdrowo do domu wróciła. Jużcić uwierzyli mi wreszcie, ale policya będzie Jacquesa śledziła bardzo pilnie, no i tym sposobem erotyka naszego przyjaciela niemało ucierpi, bo nie chcąc policyi naprowadzać na ślad, gdzie jego uwielbiona przebywa, będzie musiał przez dłuższy czas wyrzec się gruchania.

— Jakie to straszne być posądzonym o morderstwo i siedzieć w więzieniu — rzekła Odeta, siląc się na powstrzymanie łez.

— Dobrze mu się stało; niech nie bałamuci kobiet, a jeżeli już nie może żyć bez przygód miłosnych, to niech przestanie bałamucić cudze żony i wyszukuje sobie jakieś mądrzejsze towarzyszki, a nie takie dziwaczki, którym się zachciewa odbierać hołdy na wieży. Czy też ty nie odwiedziłeś jej dzisiaj?

— Tak — odpowiedział Saint-Briac, po chwili wahania.

— A to popełniłeś niedorzeczność. Powtarzam ci, że policya śledzi każdy twój krok. Narazisz się na to, że cię prokurator oskarży o udział w wiarołomstwie małżeńskiem.

— Czy prokuratorowi wiadome moje nazwisko?

— Musiałem je przecież wymienić. No, pomóżże mi Odeto zburczeć teraz przyjaciela i naprowadzić go na drogę cnoty.

— Pan Saint-Briac tyle wycierpiał, że nie można już zadawać mu nowych przykrości.

— Widzę, że go chcesz bronić, zamiast oskarżać. Gdybyś mu bodaj nagadała kazanie, na jakie zasłużył!... Ale skoro już na nic się nie zda, tak odrazu, jednym zamachem przerobić cię na statecznego człowieka, to powiedz mi tymczasem, co tam w klubie się dzieje? Czy bakarat wciąż odchodzi?

— Bez przerwy, ale coraz mniejsza ochota do gry, bo ten berliński hrabia ma szalone szczęście i wciąż wygrywa.

— Ten wysoki, arogancki Niemiec?

— Właściwie Prusak.

— Czy to nie jedno?

— A, mój drogi, między Niemcem a Prusakiem jest ogromna różnica, u Niemca znajdziesz poczucie honoru i godności, u Prusaka tylko prostacką butę i bezczelność, u Niemca szlachetne popędy kulturalne, a u Prusaka tylko zbójecką wiarę w siłę pałki; u Niemca poszanowanie cywilizacyi, u Prusaka wstrętne samolubstwo; Niemiec ceni wiedzę, sztukę, uniwersytety i akademie, Prusak koszary; Niemiec bywa zwykle szczery, otwarty, Prusak jest zawsze chytry, podstępny, obłudny; Niemiec tworzył sobie historyę wojną, Prusak zdradą....

— Dosyć, dosyć! Widzę, że nie zapomniałeś historyi 1870 roku i amatorów francuskich zegarków; ale jakże to on się nazywa?

— Hrabia Zweimark.

— A tak, tak, przypominam sobie. Przyjęto go do klubu przed miesiącem.

— Ten człowiek wywiera na mnie takie wrażenie ujemne, że wciąż nasuwa mi się podejrzenie, jakoby to był zwykły rzezimieszek.

— Zbyt łatwo dostać się do klubu. To źle; za mało jest ostrożności.

— Istotnie.

— Więc on wciąż wygrywa?

— A nigdy jeszcze nie przegrał.

— Ma szczęście do kart, jak mąż z przypiętymi przez żonę rogami. Powiadają, że zdradzani mężowie nie mają szczęścia w kartach. Co myślisz Odeto, możebym ja gry spróbował?

Odeta zaczerwieniła się i zmieszała.

— Ale wybacz, nie chciałem przecież wyrządzić ci przykrości. Ot, żartuję wesoło, a ty się urażasz.

— O, wcale nie, wiem, że żartujesz, ale nie dobrze mi i głowa mnie rozbolała. Wybaczcie panowie, że was pożegnam....

— Może posłać po lekarza?

— Ależ nie ma najmniejszej potrzeby. Godzina odpoczynku i spokoju wyleczy mnie zupełnie.

Po odejściu Odety, nastała chwila milczenia. Malverne spoglądał na kapitana, jakby mu chciał do dna duszy zajrzeć; kapitan wysilał się, aby spokojnie wytrzymać te przenikliwe spojrzenia. Wreszcie rzekł Malverne:

— Ty się musisz ożenić!

— Ożenić? ja? dlaczego? po co?

— Ażeby nie zmarnieć.

— Iluż jest bezżennych, a nie zmarnowanych!

— Ale nie z twoim temperamentem. Temperament zawiedzie cię znowu na jaką wieżę, narazi znowu na jaką inną nieprzyjemność.

— Będę unikał takich przygód.

— Ej, nie oszukuj samego siebie. Ty masz prawdziwą namiętność do erotyki. Będziesz wciąż gonił za cudzemi żonami, aż cię mąż przychwyci, no i.... Wszak znasz prawa nasze? Kula w pierś na miejscu.

— Tak trudno, tak trudno zabrać się do tego, co radzisz.

— A jednak to konieczne. Jaki byś ty był szczęśliwy, mając taką żonę, jak Odeta!

Saint-Briac spojrzał na przyjaciela tak dziwnie, jakby się przeląkł słów jego,

— No cóż? prawda? — mówił dalej Malverne. — Wiem, żeś niegdyś bywał u jej rodziców i czule na nią spoglądał. No, nie oświadczyłeś się, Odeta widać nie dostrzegła twych sentymentów, nie zyskałeś jej wzajemności, więc wyszła za mnie. Dziś może i żałujesz tego, no to wybij klin klinem i poszukaj sobie drugiej takiej Odety. Albo wiesz co? poproszę mej żony, aby cię wyswatała.

— Jakto? czy można? wszakże opowiedziałeś jej, iż miewam schadzki z mężatką.

— Powiem teraz, że przysiągłeś przedemną, że te stosunki zerwiesz. No i zerwać musisz koniecznie, jeżeli nie chcesz zgubić siebie samego, a unieszczęśliwić rodziny, którą kalasz i rozbijasz.

— Czy ty myślisz, że jabym znalazł szczęście w małżeństwie?

— Gdybyś wyszukał taką, jak Odeta, byłbyś równie szczęśliwym, jak ja. Ja mam takie do niej zaufanie, że gdybyś ty mi nawet ręczył honorem, iż ona mnie zdradza, nie wierzyłbym nawet tobie.

Malverne spojrzał na przyjaciela wzrokiem długim, spokojnym, a Saint-Briac pochylił się nagle, żeby podnieść cygaro, które mu z ręki wypadło.

— Pożegnam cię — rzekł kapitan, wstając z fotelu.

— Poczekaj; pójdę z tobą. Jeszcze nie ma dziesiątej, bakarat się nie zaczął, możemy wpaść do klubu i pozwolić sobie obserwacyi nad grającymi.

Wyszli. Spiesząc, nie mówili do siebie i tak przeszli kilka ulic, aż nie daleko klubu zatrzymał się Saint-Briac.

— Co takiego? czemu stanąłeś? — spytał Malverne.

— Spostrzegłem króla bakarata, hrabiego Zweimarka.

— A, widzę go. Rozmawia tajemniczo z jakimś obszarpańcem, wyglądającym na zbira. Oto! już wsiadł do powozu.

— Pewnie jedzie do klubu.

— Zaciekawia mnie ten człowiek. Wpadło mi na myśl, żeby go kazać policyi śledzić.

— Policya powinna była dawno to uczynić.

Wkrótce przybyli do klubu, a pierwszym człowiekiem, którego w sali dostrzegli, był hr. Zweimark. Rozmawiał z kilku znajomymi z odcieniem niesmacznej, sztywnej wyniosłości, właściwej Prusakom....

Był to człowiek postawny, silnie zbudowany, liczący może trzydzieści kilka lat życia.

— Panowie! bakarat czeka! — zawołał ktoś z przyległego salonu.

(Ciąg dalszy nastąpi).

K. WILCZKOWSKI.

Jednemu szydła golą, drugiemu brzytwy nie chca.

4 HUMORESKA (Ciąg dalszy).

— To już, panie, tak jakby zrobione. Jutro o 9-ej rano w kościele św. Jakóba odbędzie się nasz ślub, póki nie przygotują nam potrzebnych dowodów, zjemy *lunch* tu u mnie, a o 2-ej popołudniu wyjedziemy pośpiesznym pociągiem do San Francisco...

Jak z 17-go piętra zjechał, nie umiał by tego Strzycki określić. Zapomniał o wszystkiem: o żonie, o moździerzu, o swoim przyjacielu, którego śmierci zawdzięczał swoje powodzenie, a nawet o potwornej brzydocie miss Luizy.

Nazajutrz, gdy po ślubie znaleźli się w skromnym pokoiku miss Luizy, Strzycki-Kentley oprzytomniał, zwłaszcza gdy go zaczęła obsypywać pocałunkami, jakgdyby cały ich zapas, gromadzony w ciągu kilku dziesięcioleci, chciała odrazu wyładować.

— Lepsza, zdaje się — pomyślał — była tamta z moździerzem, niż ta z pocałunkami, lecz jak mówił nieboszczyk Cezar, „alea jacta est“, więc trzeba brnąć w swoim Rubikonie...

Luiza zaś zaczęła zwierzać mu się i opowiadać smutne chwile dzieciństwa, a następnie lata, które mężczyźni słusznie zowią młodzieńczemi, swe oczekiwania na śnionego przez wszystkie dziewice męża, o którego tak trudno w Stanach Zjednoczonych, gdzie każdy myśli tylko o *bussinesie.* A że jak każda amerykanka, miała wrodzone uczucie *self-help'u*, to jest samopomocy, więc też pracowała od kilku lat jako infirmierka w szpitalu św. Jakóba — dla umysłowo chorych.

Na szczęście dano znać, że przyjechał zamówiony ekwipaż, którym państwo młodzi mieli się udać na dworzec, następnie zaś Pacific Railway'em do San Francisco, by pożegnać się ze zwłokami mr. Richarda Kentley'a, a przywitać jego miliony.

. . . .

O przysłowiowej szybkości amerykańskich pociągów zbyt niejasne mamy pojęcie, często bowiem niedomówiony wyraz nasz współpasażer na następnej dopiero usłyszy stacyi. Szybko więc poślubne chwile upływały dla Luizy, choć Strzyckiemu zdawało się, że jadą z szybkością przeciętnego towarowego pociągu drogi Nadwiślańskiej.

Dojechali nareszcie do celu i wprost z dworca udali się na Georg Street, gdzie mieściła się kancelarya mr. James'a Wilkens'a.

Notaryusz, przejrzawszy podane sobie dowody zapytał:

— Jak się pan nazywa?

— William Kentley, a to moja żona mistress Luiza Kentley, córka pani Mery Rockplayt, dawnej narzeczonej stryja mego Richarda...

— Czy pan mówisz o Richardzie Kentley, czy też o zmarłym przed dziesięciu dniami Richardzie Kertley? Lecz prawda, pan jako Kentley nie możesz być spadkobiercą pana Kertley'a...

Pomocnik Wilkens'a wydobył z ogniotrwałej kasy oryginalny testament nieboszczyka.

— Ależ, panie szanowny, mnie depeszowano, że był chorym, a następnie, jak przystało na milionowego i bezdzietnego spadkodawcę, umarł stryj mój mr. Richard Kentley!

— Bardzo być może, że pan, panie Kentley, masz także stryja, który napewno kiedyś umrze, lecz tymczasem umarł tylko mr. Richard Kertley...

— Lecz, panie, ja tu umyślnie z Europy przyjechałem!

— W takim razie — odrzekł z flegmą rejent — poproś pan swego stryja, by chcąc się panu zrewanżować, gdy będzie miał zamiar umrzeć, pojechał do Europy, lecz ja tak jestem obecnie zajęty, że muszę pana prosić, byś mnie pożegnał.

Strzyckiemu-Kentley'owi zrobiło się o wiele gorzej, niż wówczas, gdy w Hamburgu, żegnając wraz z prawdziwym Kentley'em stały ląd, zapoznał się po raz pierwszy z whisky i grogiem.

— Pomimo tak niemiłej dla ciebie, mój drogi, pomyłki, wdzięczna Opatrzności jestem, że nareszcie choćby tylko formalnie, przestałam być panną — rzekła Luiza, opierając się na jego ramieniu — prowadź mnie więc dalej przez życie...

— Pomieniał się stryjek — za siekierkę kijek — myślał nasz bohater, włócząc się potem bez celu po ulicach San Francisco z przyczepioną u boku nową żoną. — Stracony jestem teraz i dla siebie i dla świata bezpowrotnie. Ów milionowy spadek dyabli wzięli, zostawiając mi dwie żony i w perspektywie dwa procesy sądowe: o podszywanie się pod cudze nazwisko i o bigamię.

Błądząc tak, uradzili, by zajść posilić się do baru. Tu Strzyckiemu-Kentley'owi poprawił się humor, więc zgodził się na propozycyę żony, by powrócić do New-Yorku.

— Tam ja znów zostanę infirmierką w szpitalu, ty pracować będziesz w jakiej fabryce, lecz nie opuszczę cię nigdy — rzekła Luiza — a zauważywszy, że mąż jej zbladł i jak gdyby dławiąc się, zaklął coś w niezrozumiałym dla niej języku, spytała:

— Co mówisz, *my dear?*

— Nic, mówię tylko, by tego Kent..., nie, Kert..., nie, Strzyc... nie... o, co go zamiast mnie... raczej mnie zamiast niego... ot tego, co go utopili, ot lepiej żeby go były żywcem raki zjadły...

Mistress Luiza spojrzała na swego małżonka. Siedział blady, kurczowo zaciśnięte usta i ogłupiały wzrok mówiły aż nadto dobrze, iż nowina o pomyłce i stracenie nadziei na otrzymanie spadku, fatalnie oddziałały na niego. Sama zajęła się kupnem biletów i wyekspedyowaniem bagażu, a w drodze tak męczyła go ustawiczną troskliwością i pytaniami o stan zdrowia, że Strzycki-Kentley na przedostatniej stacyi wyskoczył, by dopiero następnym pociągiem udać się do New-Yorku, z mocnem postanowieniem unikania możliwego zetknięcia się z obecną swą małżonką.

. . . .

Pani Malwina Strzycka zmartwiona zniknięciem męża, pocieszała się myślą, że w dzisiejszych niespokojnych czasach każdemu zdarzyć się może, iż na pewien czas zostanie izolowany od reszty społeczeństwa. Gdy jednak przyszła wiadomość o śmierci Zenona, rozpaczać zaczęła, bo pomimo, a może właśnie i z powodu swego krewkiego temperamentu, kochała go bardzo. Wszyscy mężowie wiedzą z doświadczenia, że żona z limfatycznem usposobieniem, to tylko taka ewangieliczna przyjemność.

Próżno rodzina próbowała wyperswadować młodej wdowie, że nie powinna żałować „takiego łajdaka“, że czy później, czy wcześniej musiałby umrzeć, że powinna cieszyć się raczej z tego, bo znajdzie sobie odpowiedniejszego męża.

Wuj jej, majętny a bezdzietny doktór Wonolecki, który najbardziej sprzeciwiał się wyjściu jej zamąż za Strzyckiego, dowiedziawszy się o jego śmierci uczynił na rzecz wdowy darowiznę z trzypiętrowej kamienicy w Alejach Ujazdowskich i 60 tysięcy, zahypotekowanych na podmiejskich dobrach.

Lecz i to nie mogło pocieszyć nieutulonej w żalu wdowy. Rodzina nalegać jednak zaczęła, by przez wzgląd na hojny zapis wuja jaknajprędzej wydobyła dowody, urzędowo stwierdzające śmierć Strzyckiego.

Namówiono więc wdowę, by pojechała w tym celu sama do New-Yorku, dla pomocy zaś prawnej wysłano z nią dalekiego. kuzyna, który przed kilku laty ukończył wydział prawny i dotychczas żadnej jeszcze sprawy nie prowadził.

Podróż wpłynęła zbawiennie na smutek Strzyckiej. Morze ukołysało zbolałe nerwy, a przytem kuzynek (choć nie wiedziała, w jakim stopniu są spokrewnieni) starał się ją uspokoić. Trudno byłoby nawet określić, czyja była większa zasługa: morza, czy też młodego prawnika w tem, że Strzycka, wysiadłszy na stały ląd, pogodziła się z losem... Tęskno jej tylko było za Europą, a gdy kuzynek zbierał w urzędach potrzebne mu dokumenty, Malwina błądziła po ulicach miasta, przyglądając się z zajęciem niezliczonym skwerom i trawnikom, na których dzieci zarówno jak i starzy bawili się w piłkę, domom sięgającym zda się do nieba i barwnemu tłumowi, uwijającemu się w szalonym tańcu życia.

Raz idąc tak bez celu przez Houdson-Street, spostrzegła kroczącego ku niej męża. Na razie osłupiała, nagle jednak zapominając o kuzynku i o świecie całym, z krzykiem: „Zeniu, mój Zeniu!“, rzuciła mu się na szyję.

Strzycki-Kentley, on to bowiem był w rzeczy samej, zgłupiał, ujrzawszy Malwinę, lecz że drugie ożenienie się utrwaliło w nim ostatecznie wstręt do małżeńskiej instytucyi, rzekł z flegmą, jak przystało na yankesa:

— *What speak you?*

— Ależ Zeniu, Zeniu! czyż mnie nie poznajesz?

— *I not unterstand.* Jestem William Kentley — rzekł zwolna po angielsku, akcentując swoje nazwisko, a jednocześnie starał się uwolnić z objęć Malwiny.

— To być nie może, ja cię poznaję, nie puszczę cię!

Lecz Strzycki-Kentley wyrwał się wreszcie z jej objęć i zagadnął do zwabionych krzykiem gapiów:

— Czego chce odemnie ta kobieta?

— To mąż mój, łapcie go! trzymajcie, to oszust!

— Waryatka! mruknął przez zęby Strzycki-Kentley i zaczął się szybko cofać, Malwina zaś, biegnąc za nim, nie przypuszczała, że pogorszy tem tylko swe położenie. Nadszedł wkrótce *policeman* i wsadziwszy ją przy pomocy przechodniów do fiakra, odwiózł do szpitala św. Jakóba...

. . . .

Dozorcy w szpitalach dla umysłowo chorych umieją się zżyć z nimi i często znajdują u nich więcej rozsądku i uczucia, aniżeli u tak zwanych ludzi normalnych. Większą zaś niż gdzieindziej mają sposobność w New-Yorku, gdzie ilość obłąkanych wzrasta z przerażającą, iście amerykańską szybkością.

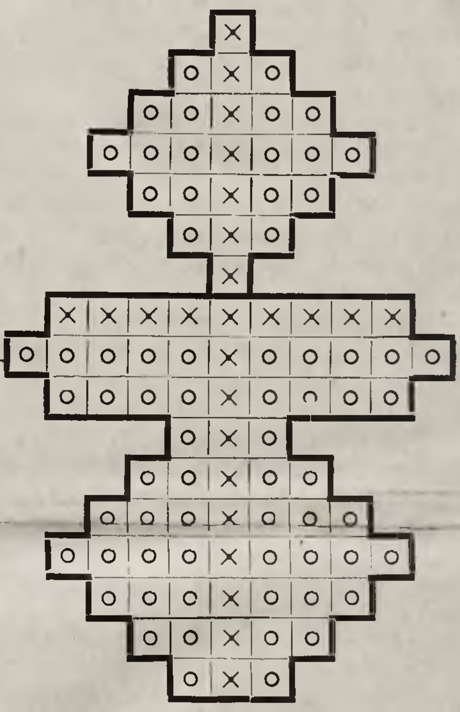
(Dokończenie nastąpi).

Zagadki do nagrody.

Zagadka.

(Ułożyła Janina Promińska we Lwowie).

Kółka i krzyżyki zastąpić literami w ten sposób, by litery wstawione w miejsce krzyżyków, a czytane w pionowym kierunku z góry na dół, utworzyły imię i nazwisko znanego polskiego kompozytora, zaś litery w ósmym rzędzie czytane w poziomym kierunku, tytuł jednej z jego najnowszych oper.



Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Jednolita powierzchnia. 3. Miejsce kąpielowe we Włoszech. 4. Imię żeńskie. 5 Część budowli. 6. Owad dokuczliwy. 7. Spółgłoska. 8. ? 9. Skład starożytności. 10. Budowla zimowa. 11. Narzędzie rolnicze. 12. Służy do ozdoby mieszkań. 13. Śpiewak grecki. 14. Nałóg. 15. Pasożyt. 16. Ptak. 17. Ruch wodny.

Zagadka literacka.

(Ułożyła Janina Promińska ze Lwowa).

Z następujących zgłosek ułożyć 15 wyrazów, których litery początkowe czytane z góry na dół, dadzą imię i nazwisko znanego polskiego powieściopisarza, zaś końcowe z dołu do góry, imię i nazwisko polskiej powieściopisarki: a, a, ar, al, bi, cu, d, da, dz, ew, e, pe, f, g, ga, ig, iel, in, j, ka, ka, ki, ki, ką, le, ma, no, n, ni, ok, op, ry, ra, rl, ro, r, rz, rz, ro, ok, s, sk, sz, so, st, soł, s, s, te, ty, ty, to, to, wi, wa, wo, wie, y, ys, zon, z ża.

Znaczenie wyrazów: 1. Rzeka w Ameryce. 2. Staropolskie lekarstwo domowe. 3. Wieś na Bukowinie. 4. Miejsce odpustowe w Galicyi. 5. Mieszkaniec wschodniej Europy. 6. Postać z powieści Sienkiewicza »Bez dogmatu«. 7. Literat francuski. 8. Pieniądz polski. 9. Nazwa gramatyki. 10. Zwierzchność gminna w Polsce. 11. Sposób zabawiania się u dawnych Rzymian. 12. Zwierz nocny. 13. Król polski. 14. Tem się kobiety dawniej zajmowały. 15. Organa porządku publicznego w Rzeczypospolitej polskiej.

Za dobre rozwiązanie powyższego logogryfu przeznaczamy wspaniałą powieść J. Maskoffa pt. »Zaszumi las«.

Rozwiązanie zagadek z Nru 28.

Logogryf.

Józef Korzeniowski — Cyganie.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: M. Arbesbauer Lwów, M. Małaczyński Pikułowice, H. Radecki Czerniowce, F. Niepokój Iwonicz, Tow. »Zgoda« Krosno, M. Opolska Czarny Dunajec, M. Burdowicz Buczacz, S. Spunda Skała.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. H. Radecki, Czerniowce; prosimy o nadesłanie 35 h. na koszta przesyłki.